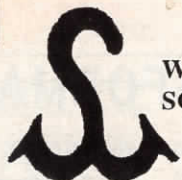


Ponieważ zasadą dokonującej się transformacji jest polityczne, informacyjne i ekonomiczne odcięcie narodu od dokonujących się przemian, istotą działań politycznych opozycji powinno być nie dążenie do organizacyjnej unifikacji prawicy, bo tak należy rozumieć dotychczasowe działania zjednoczeniowe, lecz prowadzenie bezwzględnej walki z układem „okrągłego stołu”, a woli takiej walki nie widać wśród przywódców centroprawicy. Jest to zrozumiałe, zwłaszcza, że wielu działaczy tzw. centroprawicy było mocno zaangażowanych w tworzenie układu okrągłostołowego (Kaczyński, Hall), a co najgorsze oni nadal twierdzą, że nie można było inaczej ...

Jerzy ROŚ

WOLNI I
SOLIDARNIZAMORSKI
Spotkany na
korytarzu

s. 5-8

KOWALEWSKI
O Emigracji

s. 18-20

SOLIDARNOSC WALCZACA

MIESIĘCZNIK NR 12 (310) ROK XIII, XII 1993 – II 1994., cena 10000 zł

ISSN 0867-6731

POLSKA TRANSFORMACJA USTROJOWA ...

Jerzy Roś

Zwycięstwo bloku lewicowego w polskich wyborach nie oznacza powrotu do sytuacji sprzed 1989 roku. Żadna poważna siła polityczna, nawet tak zwani komuniści, nie jest zainteresowana takim rozwojem sytuacji. Polska, obojętnie przez kogo rządzona, jest uzależniona od szeregu czynników zewnętrznych, w tym międzynarodowych organizacji finansowych, rządów państw zachodnich, itd. Ponieważ od czasu konferencji jałtańskiej ta część Europy oddana była wpływowi sowieckim, stanowiła naturalne pole zainteresowania lewicy zachodnioeuropejskiej. Lewica zachodnioeuropejska, po początkowej fazie fascynacji komunizmem sowieckim, powróciła do swych źródeł tj. do myśli marksistowskiej, zgodnie z którą socjalizm powinien być budowany w najbardziej rozwiniętych krajach świata. W tym aspekcie leninizm był niebezpieczną herezją (Rosja nie była najbardziej rozwiniętym krajem) i - w fazie swej realizacji - całkowitą kompromitacją. Lewica zachodnioeuropejska jest więc zainteresowana likwidacją komunizmu wschodnioeuropejskiego, a właściwie jego transformacją w system o cechach spełniających kryteria XX wieku, a jednocześnie w swej istocie lewicowy.

Dlatego np. głosami zachodnioeuropejskiej lewicy - Cimoszewicz, były komunistyczny kandydat na prezydenta Polski, obecny minister sprawiedliwości (?!), został wybrany przewodniczącym Komisji d/s dekomunizacji Europy Wschodniej przy Parlamencie Europejskim.

Duży wysiłek intelektualny, organizacyjny i finansowy został zaangażowany przez zachodnich socjalistów w utworzenie w tej części Europy, także w Polsce, formacji politycznej odpowiadającej ich zamiarom.

Formacja taka powstała, w Polsce jako „okrągły stół” – składa się ona z:

- działaczy dawnej partii komunistycznej lub ich dzieci (Michnik, Modzelewski, Geremek, Kuroń. *Nota bene* antykomunistyczna działalność Kuronia zaczyna się od krytyki polityki partii w dziedzinie rolnictwa. Kuroń domagał się natychmiastowej likwidacji prywatnych gospodarstw rolnych w Polsce, jako niezgodnych z ideałami socjalizmu),
- działaczy partii komunistycznej nowszej generacji, którzy zostali przekonani co do konieczności dokonania zmian politycznych i ekonomicznych (Kwaśniewski, Oleksy, Pawlak, Sekuła),
- niektórych ekonomistów o lewicowych przekonaniach (Balczerowicz, Olechowski),
- agentów komunistycznej tajnej policji, którzy mieli za zadanie wytworzyć pozory normalnego układu politycznego (TW „Bolek” Wałęsa, TW „Lech” Moczulski, TW „Spółdzielca” Chrzastowski),

– tzw. biznesmenów, określanych również jako „stara i nowa nomenklatura”, czerpiących swoje bogactwo z działań na pograniczu prawa (afery) oraz z dostępu do władzy politycznej i źródeł informacji (Bielecki, Gawronik)

Ponieważ dokonała się taka właśnie transformacja, uległ zatarciu tradycyjny podział na prawicę i lewicę, nawet w rozumieniu myśli socjalistycznej: obecnie w Polsce lewica to grupa ludzi dzierżących władzę i pieniądze, a prawica to politycy występujący w obronie oszukiwanego i okradanego społeczeństwa. Chyba nikt z tzw. setki najbogatszych Polaków nie popierał UPR, partii, która najsilniej zaznaczyła w swym programie dążenie do kapitalizmu wolnorynkowego, co jest faktem świadczącym o skali patologii.

Alternatywą w głosowaniu 19 września nie było odtworzenie totalitarnego komunizmu lecz budowa demokratycznego kapitalizmu. Wieloletnie starania lewicy o utrzymanie władzy: wymordowanie lub zmuszenie do emigracji polskiej inteligencji oraz wychowanie własnej, likwidacja klasy średniej i powołanie w jej miejsce biurokracji, ścisła kontrola nad finansami i środkami masowego przekazu dały efekty. 19 września komuniści nie odzyskali władzy, oni ją tylko utrzymali, gdyż nigdy jej nie stracili. Prowadzą Polskę ku nowej, totalitarnej formie ustrojowej, różnie określanej przez politologów z obozu prawicy: „republika bananowa”, „kapitalizm nomenklaturowy”. Dominującą cechą tej formacji będzie dążenie do utrzymania kontroli w zakresie władzy politycznej i ekonomicznej, wykształcenie mechanizmów samopowielających się układów politycznych gwarantujących utrzymanie ośrodków decyzyjnych w ich rękach (przykład: ordynacja wyborcza do sejmu pozwalająca na rejestrację list niektórych partii bez konieczności zbierania podpisów). Tak więc zasady demokracji były już i będą nadal stosowane tylko w wypadku, gdy nie zagrażą interesom nowej klasy panującej. Dlatego tych wyborów nie można było wygrać – utworzenie opozycji wewnątrzsystemowej (w obecnym układzie parlamentarnym tę rolę będzie odgrywał UD, BBWR i KPN) przy monopolu lewicy w dziedzinie środków masowego przekazu, skutecznie blokuje w świadomości społecznej istnienie prawdziwej opozycji, gdyż normalny człowiek nabiera wrażenia, że cała polska polityka to kłótnia w jednej wielkiej rodzinie, coś na kształt serialu „Dynastia” – gdzie Adam Carrington raz jest w porządku, to znów straszną świnia, raz prawdziwym Carringtonem, to znów podrzutkiem, jego brat Steven z kolei na zmianę pederastą albo przykrym ojcem rodziny. Zamieszanie jakie powoduje takie przedstawianie polityki najlepiej ilustruje przykład części elektoratu KPN, który w poprzednich wyborach głosował na partię posługującą się radykalnie antykomunistyczną retoryką, a w obecnych na SLD.

cd str. 2-3

w numerze:

AKTUALNOŚCI

Jerzy Roś – Polska transformacja ustrojowa 1-3
Zbigniew Byrski – Dotyczy czekania na Godota czyli wyborów w RP . 3-4
Olgiard Żmudzki – Przepraszam za komunizm 4

ŚWIAT

Romuald Lazarowicz – Partnerstwo w przedpokoju 4-5

WSPOMNIENIE CZAR...

Kazimierz Zamorski – Spotkany na korytarzu 5-8
Stanisław Srokowski – Uważać, bo ona lubi brykać; co się stało z ludźmi nieprzekupnego podziemia ... 9-10

GOSPODARKA

Kazimierz Dadak – Jak rozwiązać sprawę prywatyzacji 10-13

RECENZJE

Krzysztof Brzechczyn – dekomunizacja w post-komunistycznej rzeczywistości 13-15
Marek Kozłowski – Boże Igrzysko 15-17

LISTY DO REDAKCJI

Stefan Zachartowicz – Rodakom ku rozważdze 17-18
Janusz Kowalewski – O Emigracji 18-20



DZIĘKUJEMY

za wpłaty na fundusz wydawniczy naszego pisma: W. Brodowski - Prus - 50\$, ENTER Sp. z o. o. - 9.500.000 zł na kampanię wyborczą PW, Marek Pawlik 50 \$ / prenumerata „Human Events”/ Serdecznie dziękujemy !!!
W n-rze wykorzystano rysunki Arkadiusza Gacparskiego

POLSKA TRANSFORMACJA ... cd

Jedynym celem, który był możliwy do osiągnięcia było zmanifestowanie przez część społeczeństwa sprzeciwu wobec układu politycznego, który tworzy się w kraju od kilku lat. Klęska wyborcza ugrupowań patriotycznych nie podlega dyskusji. O jej przyczynach pisali m.in. Piotr Wierzbicki w „Gazecie Polskiej” i Walde-
mar Łsiek w „Najwyższym Czasie”. Wskazali oni na szereg przyczyn, niektóre z nich omawiałem już wyżej. Ważniejsze jest jednak coś innego. Oto w jednym obozie politycznym, co prawda obozie przegranych, znaleźli się przedstawiciele różnych opcji ideowych, których łączy negatywny stosunek do „okrągłego stołu” i szerzej do totalitarnej koncepcji politycznej, będącej jego wynikiem.

Potwierdza to tezę, że tzw. „okrągły stół” to tworzenie zupełnie nowej jakości politycznej, wobec której trzeba będzie dopiero wypracować nowe metody walki politycznej. Na razie w aspekcie politycznym jedynym działaniem stał się sprzeciw.

Skala tego sprzeciwu, zgodnie z wynikiem wyborów wynosi ok 10% (suma głosów oddanych na UPR, PC, Koalicję dla Rzeczypospolitej, PSL-PL i inne mniejsze ugrupowania). Sumowanie głosów UPR i PSL-PL, mimo że te partie głoszą skrajnie różne programy ekonomiczno-polityczne wynika stąd, że nowo tworzony system totalitarny podlega krytyce zarówno z tradycyjnie rozumianego prawniczego, jak i lewicowego, punktu widzenia.

Wobec zagrożenia utrwaleniem się układu okrągłostołowego najważniejsze wydaje się utworzenie normalnego systemu politycznego, nawet pozaparlamentarnego, z normalną lewicą, centrum i prawicą, który to układ mógłby propagować w społeczeństwie politykę opartą na wartościach, a nie na dostępie do koryta i kasy.

Pierwszy krok został już uczyniony: nawet największe tumany spośród elektoratu i działaczy średniego szczebla KLD, ZChN i UD dostrzegły konieczność przeprowadzenia lustracji i dekomunizacji, a więc realizacji części programu „oszołomów”.

Konieczne jest wypracowanie metod walki z ekonomiczną przewagą lewicy. Bazą dla sprawowania rządów przez lewicę jest struktura własności w Polsce, znaczna część majątku (średnie i duże zakłady przemysłowe, miliony mieszkań, ziemia, lasy) pozostaje w rękach państwa. Zarządza nimi potężna grupa biurokratów wszystkich szczebli, która wraz z rodzinami stanowi część elektoratu, jeżeli dodamy do tego „przedsiębiorców” działających na styku sektora prywatnego i państwowego i czerpiących zyski z korupcji i nieudolności biurokracji, osoby uzależnione od biurokracji (miejsca pracy, mieszkania, pomoc socjalna) oraz możliwość zdobywania popularności poprzez wydawanie pieniędzy podatników np. Fundacja SOS Jacka Kuronia to otrzymamy obraz stałego elektoratu lewicy.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że skala majątku jaki pozostaje w rękach państwa

wynosi ok. 60 - 80%, to trzeba sobie jasno powiedzieć, że to struktura własności, a nie wyniki wyborów jest bazą dla socjalistycznego funkcjonowania państwa. Tak długo, jak ta sytuacja się nie zmieni, nie ma mowy o wygraniu przez siły prawicowe jakichkolwiek wyborów. Przed prawicą polską stoją podobne wyzwania, jak przed Polakami z Księstwa Poznańskiego, kiedy zaczęli swoją „najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy”.

Ponieważ zasadą dokonującej się transformacji jest polityczne, informacyjne i ekonomiczne oddzielenie narodu od dokonujących się przemian, istotą działań politycznych opozycji powinno być nie dążenie do organizacyjnej unifikacji prawicy, bo tak należy rozumieć dotychczasowe działania zjednoczeniowe, lecz prowadzenie bezwzględnej walki z układem „okrągłego stołu”, a woli takiej walki nie widać wśród przywódców centroprawicy.

Jest to zrozumiałe, zwłaszcza, że wielu działaczy tzw. centroprawicy było mocno zaangażowanych w tworzenie układu okrągłostołowego (Kaczyński, Hall), a co najgorsze oni nadal twierdzą, że nie można było inaczej; żaden z nich nie przyznał, że nie jest tak dobrym politykiem, jak sobie to wyobrażał. Poza tym działania zjednoczeniowe są przeprowadzane w sposób, który woła o pomstę do nieba. Porozumienie Centrum wchodząc w układ z partnerami tworzącymi Koalicję „Ojczyzna” rozbiło tym samym stworzony przed wyborami blok „Zjednoczenie Polskie”, bo trudno sobie wyobrazić, aby Jan Parys z RTR, którego ugrupowanie było jedną z podpór Zjednoczenia współpracował z Chrzanowskim, o którym wyrażał się w kampanii wyborczej per „komunistyczny kapuś”. Chyba, że obydwaj panowie są pozbawieni honoru, a w takim razie nie powinni się zajmować działalnością po prawej stronie sceny politycznej. O tym, że nastąpiło przedziwne odwrócenie przymierzy, bo ci co wspierali rząd Suchockiej (ZChN, Partia Konserwatywna itp.) zawarli układ z ekipą, na którą niecałe pół roku wcześniej - 4 czerwca - wysłali policję, nie warto nawet wspominać.

Partia Wolności nie organizuje akcji zjednoczenia sił prawicy. Nawołujemy przede wszystkim do pogłębionej analizy politycznej obecnej sytuacji Narodu Polskiego. Drugim etapem powinno być wypracowanie języka politycznego, który pozwoli przedstawić nasz program i przekona społeczeństwo, aby go poparało. Pisał o tym Kornel Morawiecki w programie Partii Wolności przed wyborami parlamentarnymi w 1991 roku: *Popsuli nam język, odebrali zdolność porozumiewania się.../ gdy ci, którzy mówili „socjalizm tak, wypaczenia nie” i chcieli jedynie ulepszyć system, twierdzą, że go obalali; gdy dawni agenci i konfidenci mienią się patriotami, a niedawni marksiści demonstrują swój katolicyzm - w takim pojęciowym i moralnym zamęcie nie myślimy licytować się na hasła ...*

Pisze także o tym prof. Jacek Trznadel w „Gazecie Polskiej” z 4 listopada '93 roku ... konieczny jest nowy język antylewicowy, odwołujący się do rdzenia życiowego narodu. Nie może on być tylko językiem powstań narodowych, szlacheckich rocznic, nachylania się nad kośćmi męczenników. I nie może to być język walczący tylko ideą z uporczywym komunizmem. Musi to być język (a za nim zadanie) – zrozumiały dla powszechności, przylegający do dzisiejszych rzeczywistych trosk narodu i wychodzący im naprzeciw – także tym zbiorowościom narodu, które są w sensie ideowym prawie niepiśmienne, choć w głębi śniące często nieświadomie o tkwiącym w nich pięknym zakorzenieniu w lepszej Polsce, uwolnionej od fatalizmów i związków z nimi codziennych udręk. Jak ważne jest zagadnienie języka politycznego, w jakim zwracamy się do Narodu niech będzie przykład naszego wroga. Wyrazy 'komunizm', 'komuniści' i 'komuna' mają w języku polskim długą tradycję. Samuel Bogumił Linde w roku 1807 notuje w swoim słowniku języka polskiego wyraz 'KOMUNISTA', lecz w jakże zaskakującym dla nas znaczeniu: „KOMUNISTA – Komuniści, Bartoszkowie, kapłani świecy, żyjący w zgromaszeniu, autorem ich Bartłomiej Holzhauzen.” Ostatnie przedwojenne wydanie w 1929 roku „Słownika wyrazów obcych” Michała Arcta podaje w znaczeniu 'KOMUNISTA' – „zwolennik komunizmu, nazwa przybierana przez opryszków, napadających z rewolwerami na mieszkania i sklepy w celu grabieży”. Dzisiejszy komunista to prawdopodobnie wspomniany wyżej dekomunizator Cimoszewicz.

To, co się dzieje w polskiej polityce obecnie, jest niezrozumiałe dla normalnego, przeciętnego człowieka. Dzieje się tak, nie dlatego, że Naród Polski musi się dopiero uczyć demokracji, ale dlatego, że ci, którzy sprawowali i sprawują władzę dokonali gigantycznego oszustwa. Nie tylko kradną państwowe pieniądze, ale także zmieniają znaczenie najprostszych słów, które służą do opisywania rzeczywistości: Prawda, Sprawiedliwość, Prawo, Wolność, Równość.

Czytelnikom, sympatykom i przyjaciółom miesięcznika „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA” najlepsze życzenia z okazji świąt BOŻEGO NARODZENIA i szczęśliwego (również politycznie) Nowego Roku składa

Redakcja

Tym wszystkim, którzy nam finansowo (i w jakikolwiek inny sposób) pomogli serdecznie

BÓG ZAPŁAĆ

Dotyczy czekania na Godota czyli wyborów w RP

Zbigniew Byrski

Artykuł, który zamieścił Pan Redaktor w Tygodniku „Wprost” (Nr 31 z 1.8.93) posuwał pański sceptycyzm wobec nadchodzących, a raczej przygotowywanych wyborów bardzo daleko. Właściwie był dosyć jednoznaczny i dużych złudzeń w kwestii tego, co to mają być za „wybory” nie pozostawił. Zresztą sam Pan to pisał. Teraz wracam do tego jeszcze raz cytując pański list w całości,

le 9 sierpnia 1993

Drogi Panie,

Bardzo jest mi przykro, ale całkowicie się z Panem nie zgadzam. Nie mam wielkich złudzeń co do zbliżających się wyborów, ale ich bojkotowanie i zakładanie z góry, że praca w przyszłym parlamencie będzie haniebną, jest bez sensu. A więc co? Nie rozpisuję się na ten temat. Złączam swój wywiad dany do „Wprost”, w którym precyzuję swoje stanowisko.

Nie zgadzam się również z Pana ocenami w innych sprawach. Włochy właśnie mają najlepsze szanse pozytywnego działania w Somalii i Erytrei, gdyż zostawili tam po sobie bardzo dobre wspomnienia./.../

Łączę najlepsze pozdrowienia.
Jerzy Giedroyc

Głównie dlatego, że zestawilem go z przemówieniem Vaclava Havela, które wydrukował Pan jako artykuł wstępny w „Kulturze” nr 12/543/93, nadając mu wysoką rangę i który publikowany w tym miejscu jest głosem Redaktora czyli - Pana. List pański do mnie jest dlatego dla mnie ważny, ponieważ to, co Pan pisał poprzednio we „Wprost” nabiera co najmniej dwuznaczności, a właściwie niejasności. Czekanie na Godota - powiada Pan Redaktor za Haveliem jest bzdurą. Ale właśnie pełne samokrytycznych refleksji przemówienie prezydenta Czech jest wielką apologią cierpliwości, poddania się tajemnym mechanizmom, które rządzą społeczeństwami - innymi słowy to co w Polsce nazywa się „reformami”, a co nie zawsze, ale coraz częściej jest rzućaniem publiczności piaskiem w oczy. Złodziejstwa w RP praktykuje na szeroką skalę, bynajmniej nie „aksamitna” ale brutalna i chwytająca się coraz bardziej bezceremonialnych metod władza. Ale co ma z tym wspólnego Vaclav Havel, wytypowany na Prezydenta Republiki przez najwyższe czynniki czyli przez KC Partii już w pierwszym rzucie, gdy tylko w Czechosłowacji wystąpiły początkowe sygnały załamania systemu? Ano ma i to bardzo dużo. Władze Partii szybko się na niego zgodziły, żeby nie trzeba było odwoływać się do drastycznych środków jak w przeszłości czyli za Dubczeka. Trzeba było zapewnić komunistom nie tylko „miękkie lądowanie” jak w Polsce w Magdalence, ale wygodne fotele czyli absolutne bez-

pieczeństwo nie tylko przed więzieniem ale przed wszelką odpowiedzialnością karną, z tym że pewną ograniczoną liczbę „ofiary” w charakterze kozłów ofiarnych, trzeba było poświęcić. Przy tym temple wydarzeń na świecie wiele rzeczy trudno było przewidzieć. Bardzo możliwe że Czechy wyszły na tym nieźle a Havel jest szlachetnym człowiekiem, choć bardzo giętką trzeba ukuć definicję „szlachetności”, żeby się Havel w niej pomieścił. Ale mnie chodzi nie o Havla, ale o pańskie powoływanie się w kontekście Polski na tego frywolnego nieraz filozofa i pisarza. Bo oto okazało się, jak podaje REUTER, a za nim nowojorski polonijny „Nowy Dziennik” z 2-go Września 1993, że prezydent Havel jest milionerem. Oczywiście nie w koronach ale w dolarach USA. Nie zdobył tego bogactwa w sposób typowy dla niektórych „reformatorów” lub błyskawicznych bogaczy, korzystających z „reform” w innych państwach post-komunistycznych.

Owe dolary otrzymał w trybie przywrócenia mu zagrabionej przez reżym komunistyczny własności dziadka, zamożnego inwestora budowlanego. Cytuje poniżej doniesienie „Nowego Dziennika”.

Havel jest milionerem

PRAGA (Reuter) - Prezydent Czech Vaclav Havel ujawnił w środę w wywiadzie prasowym, że jest posiadaczem wielu przedsiębiorstw, a jego majątek można szacować na kilka milionów dolarów.

Po objęciu urzędu prezydenta Czechosłowacji, były pisarz-dysydent Havel ujął swoich rodaków rezygnując z przysługującej mu kwatery w pałacu prezydenckim. Pozostał w swoim skromnym mieszkaniu w bloku nad brzegiem Wełtawy. Jak wynika z rozmowy, Vaclav Havel oraz jego brat Ivan posiadają wspólnie dwie restauracje i pasaż handlowy „Lucerna” w centrum Pragi, dom mieszkalny, willę (którą wynajęła ambasada Argentyny) i kilka placów budowlanych w tym mieście oraz kolekcję cennych dzieł sztuki. Do braci Havlów należy także dom w miejscowości Zlin w południowo-wschodniej części Czech.

Vaclav Havel powiedział gazecie Młoda Fronta Dnes, że jest to majątek dziadka, zamożnego inwestora budowlanego. Nie ruchomości te zostały odebrane przez komunistów w 1948 roku. Po „aksamitnej rewolucji” w 1989 roku przystąpiono do oddawania Czechom i Słowakom skonfiskowanych dóbr.

Przy okazji poinformowano, że Vaclav Havel, nie mieszka już w bloku, lecz przeniósł się jednak do oficjalnej rezydencji. Jego pensja jako prezydenta Czech wynosi 2900 dolarów miesięcznie oraz 3100

PRZEPROSIĆ ZA KOMUNIZM

Olgierd Żmudzi

W czasach głębokiego komunizmu ludzie nieśmiało wzdychali, żeby komuniści przestali wreszcie głądzić o marksizmie-leninizmie i wzięli się za coś pożytecznego, choćby za robienie interesów!

Od 1989 roku marzyli żeby komuniści zechcieli nas przeprosić za komunizm. I nagle towarzysz-redaktor – poseł Aleksander Kwaśniewski publicznie i oficjalnie za komunizm przeprosił.

Spółeczeństwo czegoś od komunistów od czasu do czasu żąda, a oni po jakimś czasie jednak spełniają te pragnienia i oczekiwania. Swoje chłopaki! Jak ich w nagrodę nie dopuścić z powrotem do władzy?



Powinniśmy jednak nie zapominać i o innej stronie komunizmu. Jak szacunkowo obliczył laureat nagrody Nobla – Solżenitsyn, komunizm, żeby zdobyć władzę, utrzymać się przy niej i umocnić ją, doprowadził do masowego wymordowania 100 milionów ludzi! Jak rozliczyć tę przeszłość?

To, co zrobił komunizm i komuniści do 1989 roku, to jedna sprawa. Druga, to działania samych komunistów od 1989 roku do chwili dzisiejszej. Rozpoczęty w czasach premiera Messnera proces przejmowania przez komunistów własności państwowej na swoją własność prywatną trwa. Zablokowano w dwóch kolejnych sejmach sprawę reprivatyzacji, czyli zwrotu mienia zagarniętego przez komunistyczne państwo. Po co zwracać komuś coś, co można rozdzielić między swoich kumpli?

Dawna własność państwowa staje się w Polsce w znacznej skali własnością prywatną ludzi z jednego tylko kręgu towarzyskiego. W jego ramach trwały różne dziwne bankowe operacje. Udzielano niemal nieoprocentowanego kredytu, który następnie umarzono wpisując go w straty. W efekcie całe społeczeństwo ciągle finansuje tworzenie się nowych komunistycznych fortun.

Ze strony pana Kwaśniewskiego nie padły do tej pory słowa przeprosin za to, co komuniści robią dziś, czyli po 1989 roku! Panowie ci ani myślą przeprosić za ogryzanie społeczeństwa z tego niewielkiego dorobku, który – mimo komunizmu zdołano jednak wypracować. Choć może kiedyś słowa takie padną? Chyba jednak dopiero wtedy, jak już wszystko będzie w prywatnych, komunistycznych rękach!

dolarów w formie różnych przywilejów i ulg.

Dochody „urzędowe” Havela jako prezydenta wynoszą miesięcznie 2.900 \$ US poborów plus \$ US 3.100 w formie przywilejów finansowych przysługujących Głowie Państwa. Oczywiście jego współobywatele wiedzą o tym i zapewne nie biorą mu tego za złe. Podobnie jak i ja. Ale cytowanie przez Pana Redaktora przemówienia Havela w kontekście Polski, gdzie rabunek i rządy post-komunistyczne nigdy nie były „aksamitne” jest po prostu skandalem. Chyba że Pan nie wiedział. Ale o wysłaniu na tamten świat Michała Falzmana, w związku z rabunkiem miliardów dolarów przy „obsłudze” zadłużenia zagranicznego RP też Pan Redaktor nie wiedział, a dowiedział się Pan o tym z książki Mirosława Dakowskiego i Jerzego Przystawy pt. „Via Bank” – nie uczynił Pan nic.

Nie ma Pan racji, twierdząc że „nie można czekać na Godota bo Godot nie przyjdzie...”. No to co, że nie przyjdzie? Gdy się ma 6.000 dolarów miesięcznie + nieokreślone dochody z przedsiębiorstw, można czekać nie tylko na Godota, ale na diabła i anioła. Można zalecać ludziom modlitwy, seks, kult szatana i lichu wie co. Ale na pewno nie wolno im nakazywać cierpliwości, a z braku czego innego zalecać głosowanie do „parlamentu” który nie jest żadnym parlamentem, o czym Pan Redaktor dobrze wie. Tak jak i Lech Wałęsa, który gotów jest zrobić wszystko albo prawie wszystko, aby utrzymać się przy władzy.

Przeraziła mnie opublikowana w prasie rozmowa z Czesławem Miłoszem, którego darzy Pan szacunkiem i przyjaźnią, a wielu Polaków podziwia z powodu nagrody Nobla. Pławiąc się w sławie Miłosz podpisywał na ulicach Krakowa egzemplarze swojej książki. - To są jedyne koleżki, które są jeszcze w Polsce - powiedział Poeta. Najwidoczniej nie wiedział, że koleżek nie ma, nie dlatego, że sklepy są dobrze zaopatrzone - choć są - ale dlatego, że Polacy nie mają za co kupować, bo dziadują. Czesław Miłosz żyje w „róznanym ogrodzie”, zapatrzone w siebie i w swoją sławę. Dawno temu, zaraz po przy-

znaniu mu nagrody Nobla, powiedział, że laureat Nobla nie musi być inteligentnym człowiekiem. Zgadza się. Nie musi i nie jest. Może by jednak, dostrzegając niedolę zdradzonych i oszukanych mahometariów Bośniaków, za co należy mu się pochwała, bo chwała byłaby już przesadą, dostrzegł i przejął się losem nadwisiańców? Choć może są to pobożne życzenia, myślę że Miłosz oprzytomnieje. Po prostu nie podobna się od polskiej rzeczywistości izolować. Wdziera się ona również do Maisons-Laffite i nic Pan Redaktor na to nie poradzi.

Świat nie powinien być dominowany przez niedołęgów. Byłoby to prawdziwe nieszczęście. Ale w III RP rządzą nie ludzie utalentowani, ale cwaniacy.

Rozwijają się umiejętności niezbrane. Lizustostwo i oszczerstwo.

Oczywiście tarczą jest „dobro Rzeczypospolitej”. Tak zresztą jak i w Stanach Zjednoczonych, które Polacy starają się małpować w najgorszym guście. Do tego nie zmusza ich już ani Fundusz Monetarny ani Lech Wałęsa. Polacy nie są zresztą w świecie osamotnieni. Złodziejstwo dóbr narodowych jest zjawiskiem globalnym z dwoma supermocarstwami na czele. Rosją i Stanami Zjednoczonymi. W tych ostatnich urzędujący prezydent odmienia „dobro kraju” we wszystkich przypadkach. W dawnych Sowietach zawsze tak było i wiadomo czego było kryptonimem, ale w USA zaczęło się nie tak dawno i nie zawsze tak być musi. Nie potrzeba „ruszać z posad bryły świata”, żeby to zmienić. Trzeba przekonać tylko pewną i to dość liczną kategorię ludzi, że świnstwo na dłuższą metę się nie opłaca. Dotychczas się opłacało i opłaca się nadal. I to nie tylko w kategoriach finansowych, ale i w terminach „zasług patriotycznych”.

Polacy idąc do oszukańczych wyborów albo siedząc w domu być może wiele nie zmieniają. Ale jeśli je maksymalnie zbojkotują, organizatorzy wyborczej szopki będą przynajmniej wiedzieć, że nie mają do czynienia ze stadem owiec. Będzie to ostrzeżenie przeciwko zмовie oszustów.

To też coś warte.

Nowy Jork 7.09.1993

PARTNERSTWO W PRZEDPOKOJU

Romuald Lazarowicz

Scarlett O'Hara, bohaterka "Przeminęło z wiatrem", gdy stykała się z jakimś problemem, którego nie potrafiła rozwiązać, pomyślała: "Pomyślę o tym później". Czasem problem rozwiązywał się sam, kiedy indziej oczywiście trzeba było o nim pomyśleć. Był w tym nawet pewien wdzięk. Ten klasyczny przypadek eskapizmu, który przystoi dziewczęciu borykającemu się z przeciwnościami losu przekraczającymi jej doświadczenie życiowe i wyobraźnię, zdecydowanie jednak raz, gdy prezentują go przywódcy światowych potęg.

Pomyślimy o tym później - zdają się zapowiadać na brukselskim szczycie sze-

rowie państw NATO w kwestii poszerzenia paktu o kraje, którym szczęśliwy zbieg okoliczności pozwolił zerwać pęta zależności od wschodniego mocarstwa. Podjęte na szczycie decyzje w istocie niczego nie zmieniają - nie dają ani żadnych gwarancji byłym sowieckim koloniom, ani nie zarysowują - wbrew temu, co zapowiada Bill Clinton (notabene najgorszy prezydent USA od czasów Cartera) - nawet mgliste perspektywy poszerzenia NATO o te kraje. Ot, zapowiedziano w projekcie "partnerstwa dla pokoju" możliwość odbywania z każdym z państw-sygnatariuszy KBWE wspólnych ćwiczeń wojskowych i - w razie

zagrożenia - konsultacji w sprawie obrony. Wszystko to było możliwe i dotychczas, bez całej szumnej propagandy. Nie sformułowano natomiast warunków wejścia do paktu nowych członków, bo a nuż okazałoby się, że kandydaci je spełniają...

Sprawa oczywista, że NATO nie ma żadnych formalnych zobowiązań wobec państw spoza bloku, ale też jest coś takiego jak rachunek zysków i zagrożeń, a ten najwyraźniej jest prowadzony tak, jakby do obsługi zachodnich komputerów zatrudniono rosyjskich programistów i analityków. Przywódcy zachodni nie mogą jakoś pojąć rzeczy podstawowych: tego, że rozszerzenie NATO leży w interesie nie tylko potencjalnych nowych członków, ale także w interesie samego paktu i jego dotychczasowych członków. Ma to choćby takie znaczenie jak oddalenie o kilkaset kilometrów od granic państw zachodnich zagrożenia wojną konwencjonalną. Zamiast jednak zatroszczyć się o stworzenie tego realnego bufora bezpieczeństwa wokół swych państw przywódcy zachodni wolą wdawać się w budowanie mrzonki wykonywanej w amerykańskim Departamencie Stanu: "partnerstwa dla pokoju". Zamiast podjęcia rzeczywistych działań bezpieczeństwo próbuje się opierać na pozbawionym znaczenia potoku słów!

Nie absolutyzuję znaczenia zewnętrznych gwarancji bezpieczeństwa i sojuszy wojskowych - w przeszłości zbyt często okazywały się one fikcyjne lub pozbawione znaczenia (jak w 1939 roku, kiedy "w sojuszu z Anglią i Francją" samotnie stawialiśmy czoło potęgę niemieckiej). Ale mimo to znacznie łatwiej oprzeć obronę kraju na zbiorowym systemie wojskowo-politycznym niż stawać w obliczu niebezpieczeństwa całkowicie samotnie. Ponadto decyzja o ataku na kraj będący członkiem układu wojskowego jest dla po-

tencjalnego agresora znacznie trudniejsza do podjęcia niż decyzja zaatakowania "samotnika" (chyba że ów ma warunki geograficzne Szwajcarii).

Podporządkowanie kraju lub grupy krajów nie musi się zresztą odbywać na drodze militarnej - działania gospodarcze i polityczne, system nacisków i szantaży (niemożliwe wobec członków sojuszu zachodniego) spowodować mogą te same skutki, ale bez propagandowych strat. Sądzić można, że właśnie tą drogą pójdzie Rosja, zachęcona brakiem sprzeciwu ze strony Zachodu.

W przeciwieństwie do wcześniejszych układów wojskowych NATO tworzy permanentnie funkcjonującą strukturę. Na zagrożenie odpowiadają istniejące już, gotowe do walki formacje, nie trzeba ich w pośpiechu tworzyć, są gotowe plany i procedury. To wszystko sprawia, że członkostwo paktu daje rzeczywiste, a nie iluzoryczne, gwarancje bezpieczeństwa.

Moskwa proponuje w zamian za rezygnację państw Europy Środkowej z członkostwa w NATO objęcie tego regionu wspólnymi, rosyjsko-zachodnimi gwarancjami bezpieczeństwa. Warto może, bez wdawania się w szczegóły, przypomnieć, że w XVIII wieku utrata suwerenności i prawdziwe kopoty Polski zaczęły się od gwarancji sformułowanych w 1717 r. przez rosyjskiego cara Piotra I. O wartości układów z Moskwą przekonaliśmy się także niezwykle dobitnie 17 września 1939 r. - obowiązywał wówczas podpisany pięć lat wcześniej dwustronny układ o nieagresji.

Ze strony państwa rosyjskiego oczekujemy nie jakiegoś szczególnego zaangażowania, nie skomplikowanych zabiegów dyplomatycznych i politycznych, a wręcz przeciwnie - rezygnowania przez rosyjskie władze z wypowiedziania się w czymkolwiek (poza swoim) imieniu, uznania, że sprawy polskie należy zоста-

wić Polakom, ukraińskie - Ukraińcom, litewskie - Litwinom itd. Zaakceptowanie gwarancji Rosji stanowiłoby w istocie uznanie pryncypalnej roli tego państwa w regionie i faktyczne zagrożenie pokoju. Zupełnie inna byłaby wymowa gwarancji zachodnich - w Europie Środkowo-Wschodniej jedynym potencjalnym agresorem jest właśnie Rosja (niezależnie - Jelcyna czy Żyrinowskiego) i to właśnie ona stanowi problem, nie zaś polskie, czeskie i inne "ambicje" wejścia do NATO. Niestety, zachodnia - przede wszystkim amerykańska - polityka sprzyja restytuowaniu imperialnej pozycji Rosji, a brak gwarancji bezpieczeństwa pozostawia Rosjanom faktycznie wolną rękę w Europie Środkowej. O to też od początku chodziło w ich sprzeciwach wobec propozycji rozszerzenia składu NATO, a nie o rzekome obawy przed przypisywanym paktowi ofensywnym charakterem.

Wielokrotnie w Brukseli podkreślano, że Moskwa nie będzie dyktowała decyzji Paktowi Północnoatlantyckiemu, ale faktycznie podjęte tam decyzje zadowalają wyłącznie Rosję. Politycy zachodni zdają sobie dobrze sprawę z tego, co uczynili, i gromkimi słowami uciszają wyrzuty sumienia, wschodni zaś - robią dobrą minę do złej gry.

Przyjęty w Moskwie z entuzjazmem brukselski projekt "partnerstwa dla pokoju" określa się jako uchylenie przed krajami Europy Środkowo-Wschodniej drzwi do członkostwa NATO, wydaje się jednak, że nasze kraje dopuszczono co najwyżej na przedpokój, gdzie miejsce "ubogich krewnych". O tym, do jakiego stopnia należy to traktować dosłownie, przekonali się jeszcze w trakcie trwania szczytu dyplomacji Polski, Węgier i Czech przez godzinę negocjujący z grupą... strażników zgodę na wejście do budynku, w którym odbywała się konferencja.

SPOTKANY NA KORYTARZU

Kazimierz Zamorski

Poniższy tekst jest fragmentem większej całości, zatytułowanej POD ANTENĄ, której autorem jest były szef polskiej sekcji Działu Badań i Analiz Radia Wolna Europa.

PREZENTACJA

Feldafing to miejscowość, prawie uzdrowisko, jakieś 20 km na południe od Monachium, tuż nad pięknym jeziorem Starnberg. Tam, w dniach 27-28 kwietnia 1965, w zalatującym *fin de siècle* hotelu Kaiserin Elisabeth, odbyła się konferencja okresowa polskiego zespołu RWE. Celem takiego spotkania był przegląd dotychczasowej działalności stacji i ustalenie wytycznych na przyszłość. Przegląd taki dotyczył zarówno treści, jak i technicznego poziomu audycji, toteż w naradach brali udział nie tylko redaktorzy i pracownicy realizacji, lecz też przedstawiciele służb pomocniczych, dyrektorowi polskiej rozgłośni bezpośrednio nie podlegający, jak nasłuch radiowy, moja sekcja oraz reporterzy biur terenowych.

Oficjalne otwarcie konferencji, szóstej z kolei, miało miejsce w dniu 27 kwietnia, ale już poprzedniego wieczora, po niezbyt wystawnej kolacji (gulasz), przesiadano z taśmy (tzw. *playback*)

dwie audycje. Na pierwszy ogień poszła „Zielona fala” Julickiego, czyli Henryka Rozpędowskiego.

W polskim zespole zdania odnośnie autora audycji, bardzo dobrze zresztą robionej, były dość podzielone. Prasa krajowa podawała, że był swego czasu majorem KBW, jako takiego rozpoznał go pono jeden z redaktorów. Stąd te kwasy. Nie tylko Michał Tyszkiewicz protestował przeciw zatrudnieniu Rozpędowskiego w RWE. Nowak potraktował tę sprawę bardzo ostro, oświadczył, że za Rozpędowskiego ręczy i votum nieufności w stosunku do tego pracownika będzie uważał za brak zaufania do siebie, jako szefa rozgłośni. Rozpędowski wraz z żoną, więcej niż powabną Żydówką, urwał się z Polski, czy też wyjechał legalnie, chyba w 1957 roku — za datę nie ręczę — w pierw do Izraela, skąd po jakichś dwóch czy trzech latach dołączyli do zespołu RWE. Ona została spikerką. Na 10-lecie stacji (3 maja 1962) pani Renata przygotowała występ taneczny dzieci polskich. Ziośliwi kpiarze z miejsca nazwali ten balet „Rozpędowsze”.

Zanim zaczęła się dyskusja — ocena audycji — Nowak przedstawił zebranyemu nowemu współpracownikowi RWE:

— Jest tutaj między nami młody uchodźca z Polski, pan Andrzej Czechowicz, który zabierze, mamy nadzieję, głos i opowie nam, jak jego zdaniem powinniśmy realizować nasze nowe

założenia programowe, zwłaszcza w odniesieniu do młodzieży...¹⁾

Jeśli nie jest to dosłowny cytat, wątpię, by treściowo różnił się z zapisem przechowanym w archiwum RWE.

Zapytany o opinię odnośnie właśnie usłyszanej audycji, „młody uchodźca” opowiedział się bardzo pozytywnie o „Zielonej fal”. Odmienne zdania był Michał Lisiński, nasz sztokholmski reporter. Bronili: Jan Krok-Paszkowski, Zbigniew Raciński z Londynu i ja.

Następny *playback* to „muzyczka” dla młodzieży w opracowaniu Jana Tyszkiewicza. Było już po 10 wieczór. Siedziałem niedaleko p. Barbary Palester i nie uszła mej uwagi jej półgłosem wypowiedziana skarga: „Za ten gulasz musimy cierpieć”. Bo właśnie orkiestra włoska przygrywała włoskim śpiewakom do „Krakowiaczek czy ja, ktosz nie psizna tego, szedemdzszont kulek u paszika mego”.

Tak pokrzepieni folklorem, udaliśmy się na spoczynek. Niektórzy zdążyli jeszcze skleić czwórkę do roberka.

„Jesteśmy absolutnie powszechnie słuchani”, stwierdził na otwarcie konferencji Jan Nowak. Wśród też roboczych, jakie przedstawił, ważne były — moim zdaniem — dwie:

1. Czy Gomułka jest mniejszym złem?
2. Destalinizacja czy desatelizacja?

Wiedząc, jaka będzie odpowiedź na pierwsze pytanie, przypomniałem sobie cytowany w którymś z podręczników pedagogiki temat klasówki „Czy wolno tępić krety i dlaczego nie?” Nie omyliłem się. Gomułki nie wolno tępić. W swych notatkach z Feldafingu zanotowałem: „Najlepiej chyba machnąć na to ręką. Zarówno Tadeusz Zawadzki, jak i Nowak mają anty-Moczarsową obsesję i nie ma na to rady. Cała sala ma wątpliwości odnośnie taktyki, a oni swoje: wara od Gomułki, bo partyzanci to katastrofa!”

W sprawie ideologii czy, jak kto woli, taktyki zwrócono uwagę na dwa świeże źródła inspiracji politycznej: Zbigniewa Brzezińskiego „Droga do przyszłej Europy” w nrze 4/120 *Kultury* i Juliusza Mieroszewskiego *Ewolucjonizm*, Instytut Literacki, Paryż 1964. W tym kontekście nie bardzo mi pasowało sformułowanie drugiej tezy w formie alternatywnej. Ale jakoś zapomniano w dyskusji o destalinizacji czy desatelizacji, skoncentrowano się na ewolucjonizmie, pojęciu, które Nowak usiłował swego czasu (konferencja w Chieme, 1957) zastąpić hasłem etapowość. Toteż tym razem mniej mówiono o etapowości, powracając do właściwego terminu: ewolucja. Powinniśmy podkreślić, że nie dążymy do restauracji kapitalizmu, tłumaczył Nowak, pragniemy ewolucji komunizmu w kierunku socjalizmu demokratycznego. Należy komunistom odebrać słowo socjalizm w tym znaczeniu, w jakim je używają.

To były głównie punkty. Ubocznym, choć wielce spornym w zespole, było pozornie tylko semantyczne zagadnienie: sowiecki czy radziecki. Nowak oczekiwał w tym miejscu wypowiedzenia się Czechowicza na rzecz rewizjonizmu i przymiotnika „radziecki”. Tuż przed konferencją odbył z nim odpowiednią „rozmówkę”.

Nie była to pierwsza tego rodzaju zachęta. W liście z 13 kwietnia 1965, zapraszając go na konferencję, pisał: „Ponieważ przybył Pan stosunkowo niedawno z Polski, chętnie powitałbym Pański udział w naszej dyskusji”. W kilka dni potem powtórzył ten apel w bezpośredniej rozmowie z Czechowiczem, co ten w swych wspomnieniach o tych siedmiu rzekomo trudnych latach ujął następująco:

— Bardzo liczymy, że pan się wypowie — zachęcał. — Proszę przygotować się do tego wystąpienia. Chciałbym, żeby pan jako człowiek, który niedawno opuścił Polskę, powiedział nam, jak polskie społeczeństwo w kraju ocenia swoją sytuację. Zależy nam zwłaszcza na omówieniu problemu młodzieży, co myślą i jak patrzą na swe położenie studenci, młodzi robotnicy, chłopcy...²⁾

Być może nie jest to dosłowne oddanie wypowiedzi Nowaka, ale odnośnie treści i intencji nie mam wątpliwości — byłem przy tej rozmowie obecny. Nie było to jedyne bezpośrednie spotkanie — i to nie na korytarzu — obu bohaterów mej opowieści.

Już przeszło rok wcześniej Czechowicz, wtedy w obozie uchodźców w Zirndorf, otrzymał zaproszenie do odwiedzenia rozgłośni w dniach 13–20 lutego 1964. Do tego „spotkania i rozmowy” nawiąże Nowak w liście z 16 stycznia 1965, zawiadamiając go, że „otwierają się możliwości stałego zatrudnienia” w RWE. Kandydat musi jednak liczyć się z tym, że

odnośnie „uzyskanie zgody Wydziału Personalnego” trwa zwykle „do 2 miesięcy”.

Wydział Personalny to trochę eufemizm, bo ucho igielne to *Security Office*, czyli Urząd Bezpieczeństwa, trudno i darmo takie coś u nas było i musiało być. Szefem tej instytucji był taki zadufany w sobie waśniak Hans Fischer, do niego też zwrócił się Nowak pismem z 22 stycznia 1965, by „natychmiast podjął starania” (*unless steps are immediately taken*) dla zapobieżenia poważnym trudnościom w wyniku możliwych luk personalnych w dziale przeglądu prasy, gdzie przewiduje się zatrudnienie Czechowicza. List kończył się następnym ustępem:

„Z rozmowy z p. Czechowiczem, jaką odbyłem mniej więcej rok temu, odniosłem bardzo korzystne wrażenie. Moim zdaniem, zakładając pozytywny wynik sprawdzenia, może się on okazać niezwykle cennym nabytkiem”.³⁾

Cenny nabytek rozpoczął pracę w mojej sekcji tuż przed wspomnianą konferencją w Feldafingu. Niewiele miałem okazji z nim rozmawiać przedtem, raz w lutym 1964 w kantine, przedstawił mi go wtedy Gennadiusz Kotorowicz, nasz reporter monachijski, odwiedzający dość regularnie Zirndorf, gdzie też go „upolował”, po raz drugi w kwietniu 1965 w biurze Nowaka. Na jego zatrudnienie wpływu nie miałem. Wprawdzie, dla przyzwyczajenia, mój przełożony James F. Brown pytał, czy nie mam zastrzeżeń, lecz decyzja — jak we wszystkich sprawach personalnych dotyczących pracowników polskich stacji — należała do Nowaka. Raz tylko udało mi się zatrudnić w tym dziale jedną z młodych sił i to tylko dzięki temu, że mój amerykański szef przeoczył placet Nowaka. Ten przełknął wtedy milcząco tę pigułkę, czemu do dziś się dziwię.

Tytanem pracy Czechowicz nie był. Niewiele miałem z niego pożytku. Szansy na karierę u mnie też nie miał, chyba że oparowałbyście język angielski, co mu nie bardzo wychodziło. Więcej uznania znajdował w redakcji rozgłośni, gdzie zaraz po zabyśnięciu w Feldafingu włączono go do trójki redagującej „Zieloną falę”. Rozpędowski, Józef Ptacek, Czechowicz. Te „nasiadówki”, jak on to później nazwie, zarywały mi mój plan pracy, przecież miałem określone zadania, a personel mocno uszczuplony. Prócz tych „nasiadówek”, wzywano Czechowicza często do dyskusji na tematy młodzieżowe, w których nieraz brał udział Nowak. W jednej z nich doszło do ciekawego starcia, gdy Nowak przedstawił go jako działacza młodzieżowego pochodzenia chłopskiego, czemu ten, szlachcic z dziada pradziada, gorąco zaprzeczył. Nie bardzo to było na rękę szefowi stacji, gdzie nie brakło hrabiów i taki młody chłop byłby istotnie cennym nabytkiem.

W marcu 1971 nastąpiło trzęsienie ziemi. Czechowicz, kiepski *researcher*, okazał się niezłym aktorem. Wyprowadził w pole Hansa Fischera z jego lapsami, Nowaka, mnie i przyjaciół płci obojga, jakich w zespole nie tylko polskim nie brakło.

Zaczęły się dochodzenia. Na rozmowy z Fischerem, może i z Nowakiem, wzywano w pierwszym rzędzie pracowników mojej sekcji. Dość dziwne wydało mi się pominięcie mnie, bezpośredniego szefa tego drania (epitetów nie brakło). Co poniektórzy z pracowników stacji, dojrawszy mnie z dala na korytarzu, skręcał szybko w jedno z bocznych przejść lub, uderzwszy się w czoło, zawracał... Doswiadczyłem podobnych uników i „zaników pamięci” już uprzednio z racji zatargu z Nowakiem o Józefa Mackiewicza,⁴⁾ więc mnie to nie dziwiło. Zrozumiałem, że już znaleziono winnego.

Nowak zniknął na kilka tygodni — jedni mówili, że na urlop, inni, że wezwano go do Waszyngtonu. Nie wiem, nie dochodziłem prawdy. Po powrocie zwołał cały zespół do *C.D. Jackson Room* (taka sala zebrania) i na wstępie oświadczył, że w stosunku do winnych nie będzie się wyciągać żadnych konsekwencji. Wiedziałem, że użycie liczby mnogiej to zwrot (a może chwyt) retoryczny, winny był tylko jeden: Zamorski. W tym względzie nikt z obecnych nie miał wątpliwości. Nowak ubolewał, że nikt go nie ostrzegł, nie uprzedził, przecież w zachowaniu się Czechowicza musiało być coś, co mogło wzbudzić podejrzenie. A któż by się ośmielił, pomyślałem, po doświadczeniach z Rozpędowskim. Czechowicz — wyjawiał nam teraz Nowak — został zwerbowany dopiero w grudniu 1968.⁵⁾ Już wtedy wiedziałem, że to wykręt, bo szereg wydarzeń, w których ten agent (czy szpieg, na jedno wychodzi) odegrał decydującą rolę, miało miejsce grubo wcześniej, ale rozumiałem, że data ta to ustalone alibi dla istotnie

winnych, więc przełknąłem tę, jak to Anglicy nazywają, terminologiczną nieścisłość. Na zakończenie orędzia, wygłoszonego dla pokrzepienia serc, Nowak zauważył — raczej zdawkowo, ale tak, by to przyjęto jako autorytatywne oświadczenie szefa:

— Czechowicza spotkałem kilka razy na korytarzu.

Pamiętam to doskonale i w ew. sprawie o oszczerstwo gotów jestem odsiedzieć, ale nie odwołam. Ani jednego słowa!

Wychodziliśmy z zebrania. W wąskim przejściu otarłem się o Staszka Zadrożnego: — Słyszałeś? On Czechowicza tylko parę razy spotkał na korytarzu.

— Dziwisz się?

Owszem, dziwiłem się. Człowiek, który w czasie wojny wystawiał na ryzyko swe życie, gorzej, narażał się na tortury w kaźni Gestapo, ten człowiek nie zdobył się na odwagę cywilną, by uznać swój błąd.

I dziwię się nadal, gdy czytam, że usilnie odradzał Amerykanom „wyciąganie jakichkolwiek konsekwencji służbowych wobec Kazimierza Zamorskiego, szefa Polskiego Biura Studiów i zarazem przełożonego Czechowicza”.⁶⁾

KONFRONTACJA

Późnym wieczorem 26 maja 1992 znalazłem się w Warszawie, skąd miałem następnego dnia odlecieć do Monachium. Na ewentualne odwiedziny Czechowicza pozostało mi przedpołudnie 27 maja. Diabło mało. Adres znałem, nie znałem numeru telefonu, by się dowiedzieć, czy jest na miejscu i ew. uprzedzić o odwiedzinach. Okoliczności podyktowały działanie przez zaskoczenie.

Mój powinowaty, Romuald Smoleń, u którego zatrzymałem się, dobrze się napracował zanim mnie dowiół swym foldem przez wertepy uliczne, cud że resory wytrzymały, bo Czechowicz mieszka wprawdzie w Warszawie, ale trochę tam gdzie diabeł dobranoc mówi.

Nie zastaliśmy go, pojechał na zakupy, lecz starsza kobieta, chyba dochodząca, wyjaśniła, że powinien wrócić za jakieś 10 minut, może kwadrans. Więc odjechalśmy kilka metrów przed jego dom i czekaliśmy. Scena jak w filmie gangsterskim lub

szpiegowskim. Długo nie trwało, gdy Romek, obserwujący ulicę w lusterku wstecznym, zapytał: czy to on? Spojrzałem do tyłu: tak, to on. Żeby nie wypaść z roli, wysiedliśmy równocześnie z obu stron wozu, lecz zamiast „ręce do góry”, Czechowicz usłyszał:

— Nie spodziewał się pan mnie, panie Andrzeju.

— Od razu pana poznałem.

Przywitaliśmy się tak, jakbyśmy się widzieli wczoraj, jakby między nami nie zaistniała przepaść przed 20 laty. Zaprosił nas do mieszkania, herbata, kawa, czego panowie sobie życzą. Musiał to robić dość wylewnie, bo obserwująca tę scenę dochodząca zaczęła nas przepraszać, że okazała się wobec nas nie tak gościnna, jakby należało. Podziękowaliśmy, byliśmy właśnie po śniadaniu.

Zaczął się rozmowa, właściwie monolog, bo Czechowicz opowiadał o sobie, od dzieciństwa na Wileńszczyźnie, zesłania do Kazachstanu, skąd wrócił wraz z matką i siostrą w 1946 roku do Polski, o studiach uniwersyteckich w Warszawie, zaproszeniu do Anglii przez poznaną na zesłaniu przyjaciółkę matki, mieszkającą w Londynie na Ealingu, tułaczce azylanta w RFN, wreszcie o zwerbowaniu go do służby w wywiadzie.

— Czy tak, jak to opisała Ewa Berberyusz w *Tygodniku Powszechnym*?⁷⁾

To nazwisko wywołuje gwałtowną reakcję. Wprawdzie w dalszej rozmowie potwierdzi i uzupełni przebieg werbunku, poczynając od spotkania w łazience przy Theresienstrasse 114 w Monachium, ale obstaje przy „samych łgarstwach”, jakie p. Berberyusz wypisała po 3-godzinny wywiadzie z nim. Protestował, napisał do niej list, do Krzysztofa Kozłowskiego — „on był wiceministrem u Kiszcza, jak pan wie” — wreszcie do samego naczelnego *Tygodnika Jerzego Turowicza*. Nikt nie odpowiedział.

Mnie interesuje zagadnienie, kiedy został zwerbowany, bo w tych *Siedmiu trudnych latach* jego szpiegowskie wykształcenie przed wyjazdem za granicę jest tak sugestywnie i przekonująco przedstawione, że trudno uwierzyć, by było inaczej.



To oni spreparowali tę wersję, wyjaśnia Czechowicz, po to, by się pochwalić swą operatywnością. Że to oni tę książkę pisali, nie ulegało nigdy mej wątpliwości. Taki obraz Radia Wolna Europa mógł wygotować tylko super-socrealista na użytek czytelnika, któremu na imię *der kleine Moritz*. Ten numer *im* nie wyszedł. Przeglęli pałę i ośmieszyli się.

Czas biegnie, Czechowiczowi zaschło w gardle, musi wypić herbatę, my znów odmawiamy, mamy wręcz odwrotne pragnienie, więc mała przerwa, a potem ja już naprowadzam go na to co mnie najbardziej interesuje. Cytuję więc Nowaka o tym spotkaniu na korytarzu, przypominam Feldafing i „Zieloną falę”.

— Te moje „nasiadówki” z Rozpędowskim i Ptaczkiem nie podobały się panu, zauważa Czechowicz. — Poza tym szereg razy wzywał mnie Nowak do różnych dyskusji, głównie na tematy młodzieżowe. Byłem jego cichym pupilkiem, oczywiście wypytywał mnie o pana. Ale głównym donosicielem na pana był...

Wiedziałem o nim, nie on jeden zresztą, ale pominę nazwisko ze względu na wdowę i dzieci.

Jeszcze jeden punkt, ten grudzień 1968, kiedy Czechowicz został rzekomo zwerbowany. Przecież wcześniej była afera dra Wawrzyńczyka, Krysztala...

— I Jakobsa w Wiedniu — przypominają Czechowicz. Że w tej sprawie też „zadział” — nie wiedziałem.⁸⁾

Ani spostrzegliśmy się, gdy upłynęły trzy godziny, była już pierwsza, musieliśmy się pożegnać. Na uczciwe omówienie tego co mnie interesowało i nadal interesuje trzeba by chyba trzech dni. Może jeszcze kiedyś dowiem się, kto mija się z prawdą, pani Berberysz, opisując, że Czechowicz powrócił do kraju via Salzburg i Pragę, gdzie „wsiedli do samolotu”, czy też Nowak, który twierdzi, że odleciał z Frankfurtu lotem nr 272 „Lotu” w niedzielę 7 marca o godz. 12.40.⁹⁾

Tego co mi Czechowicz mówił, nie nagrywałem, robiłem tylko notatki. Obiecałem przesłać mu ten artykuł przed publikacją, by mógł sprostować możliwe „łgarstwa”. Na pożegnanie przeproszał mnie za to co tam powypisywał na mnie w swej książce. Oświadczyłem, że rozumiem i nie mam pretensji.

Bo tak Bogiem a prawdą, miałem z nim, a on ze mną, ciężkie życie, więc sympatią do mnie chyba nie pałał. Jego styl pracy („czy się stoi czy się leży”), do tego te „nasiadówki” i inne zajęcia w redakcji rozgłośni były powodem niejednego spięcia, ale w gruncie rzeczy nie byłem mu wrogiem. Wręcz odwrotnie, życzyłem mu, by zrobił doktorat u tego Kuśmidera¹⁰⁾ i wyjechał do Stanów, tam ma szansę na karierę naukową, bo w RWE daleko nie zajdzie.

Nie wszystko co tam o mnie powypisywano może pochodzić od niego. Oni już postarali się namalować mnie tak, by mały Moryc miał uciechę. Choćby taka wzruszająca scena, w której późną nocą Czechowicz podąża z Monachium do Bad Wiessee — *wer reitet so spät durch Nacht und Wind* — by wyłożyć za mnie 1000 marek, jakie przegrałem, a nie miałem czym zapłacić.¹¹⁾ Po przeczytaniu tej bajeczki miałem wielką ochotę zadzwonić do wydawnictwa, by mi podano adres kasyna, w którym można przegrać na kredyt nie 1000, ale bodaj 10 marek.

Po powrocie do Monachium spotkałem się z Józefem Ptaczkiem. Wpierw kazalem mu podnieść dłoń, jak do przysięgi, że do czasu nie wyjawia faktu mego widzenia się z Czechowiczem.

— Tym... — tu padł dosadny epitet.

— Tak, z tym. Ale tu nie o to chodzi. Chcę dowiedzieć się od pana, czy mógłby mi pan potwierdzić to co mi opowiedział Czechowicz. Przede wszystkim te „nasiadówki”.

— Tak, raz w tygodniu, regularnie, we trójkę: Rozpędowski, ja i Czechowicz. Była też audycja młodzieżowa „Czarno na białym”. Jej autorem nr 1 był Rozpędowski, brał w niej udział również Czechowicz, ale jego wypowiedzi musieliśmy przeredagować, by nadawały się na antenę.

Od Ptaczka też dowiedziałem się o szlachecko-chłopskim nieporozumieniu w dyskusji z Nowakiem. Podobną historię opowiedział mi Tadeusz Celt. Była dyskusja okrągłego stołu na temat punktów pochodzeniowych przy egzaminach uniwersyteckich. Prowadził Nowak, udział, prócz Celta, brali: Tadeusz Nowakowski, Rozpędowski i Czechowicz. Gdy Nowak wyraził przekonanie, że ten, będąc pochodzenia chłopskiego, opowie się za punktami, Czechowicz zrobił dość niewyraźną minę. Nie dając za wygraną, Nowak nastawał:

— Przecież rodzice mieli gospodarstwo.

— Mieli.

— Ile hektarów?

— Trzysta.

I tak to poszło na antenę, zapewnił mnie Celt.

Inna ciekawostka, o której nie wiedziałem. Opowiedział mi to Ptaczek. Czechowicz przypadł dziwnie do serca Michałowi Tyszkiewiczowi. Ten miał do niego ojcowski stosunek, nazywał go Grzesiem, obwodził po Bawarii. Ten Tyszkiewicz, który miał tyle zastrzeżeń co do Rozpędowskiego, nie wyczuł szpiega w Czechowiczu.

W powyższych konfrontacjach powoływałem się na osoby, co do których mój adwersarz może mieć zastrzeżenia, jako stroniczych, cytowałem też dokumenty, jakie mógłby zaliczyć — jego zwyczajem — do „fałszywek”. Zakończę więc cytatai najbardziej miarodajnymi z III tomu memuarów pt. *Polska z oddali*.

„Jako pracownik Biura Studiów Czechowicz nie podlegał mi, więc niewiele miałem z nim do czynienia. Uważałem go za przeciętnego przedstawiciela młodego pokolenia wychowanego w Polsce Ludowej. Byłem ciekaw jego reakcji i zaprosiłem go do udziału w dwudniowej dyskusji redaktorskiej, która odbyła się poza Monachium” (s. 303).

„Ponieważ codzienne konferencje poranne za mało zostawiały czasu na wymianę poglądów, urządziłem całodziennie zebranie w gajówce, w lasach w pobliżu Monachium. Obecni byli pracownicy spoza grona redakcyjnego, między innymi Andrzej Czechowicz. Słuchał uważnie, ale głosu nie zabierał” (s. 239).

Pisząc te wspomnienia po latach, z waszyngtońskiej oddali, przeoczył — jakże zawodna jest ludzka pamięć — tych kilka razy na korytarzu.

Przypisy

¹⁾ Andrzej Czechowicz: *Siedem trudnych lat*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1974, wydanie II rozszerzone, s. 101.

²⁾ Tamże, s. 96.

³⁾ *I interviewed Mr. Czechowicz about a year ago and was very favourably impressed. In my opinion, subject to clearance, he would be an extremely valuable addition.*

⁴⁾ Kazimierz Zamorski: „Pod anteną (dok.)”, *Kultura* nr 4/415 (kwiecień 1982), s. 72–76.

⁵⁾ W drugiej części radiowej epopei — *Polska z oddali*, *Odnowa*, Londyn 1988 — można wyczytać, że proces werbowania agenta zaczął się „prawdopodobnie w drugiej połowie roku 1969”, a dopiero „we wrześniu 1970 roku Czechowicz został przeszkolony w otwieraniu zamków i kas pancernych” (s. 303–304).

⁶⁾ Tamże, s. 305.

⁷⁾ Z 12 VIII 1990.

⁸⁾ Stefan Jakobs, członek redakcji tygodnika *Nowa Wieś*, bohater — razem z Andrzejem Chłeckim — afery z przełomu lat 1966–67, określonej w prasie krajowej (*Express Wieczorny*, 22 III 1967) jako „Prowokacja”, o którą obaj wzajemnie się oskarżali. Dr Stanisław Wawrzyńczyk, neurolog i psychiatra, spędził 10 lat (1945–1955) w sowieckich obozach pracy. W sierpniu 1966 przyjechał do Wiednia z zamiarem m.in. opublikowania swych wiadomości o ZSRR, co wywołało w Warszawie prawdziwą panikę, spotęgowaną podejrzeniami KGB, jakoby Polacy świadomie umożliwili mu wyjazd za granicę, by szkodzić dobremu imieniu ZSRR. W sierpniu 1967 dr Wawrzyńczyk został porwany przez agentów polskich. Na użytek władz austriackich, pilnie strzegących neutralności kraju, nazywało się to, że wyjechał do Budapesztu na spotkanie z żoną.

Dawid Krysztal miał bogatą przeszłość więzienną — w ZSRR 58–10 (antysowiecka propaganda), w Polsce obraza premiera Cyrankiewicza — toteż, gdy zjawił się w RWE wiosną 1970 redaktor Eugeniusz Romiszewski przygotował cykl wywiadów z nim, jaki nie ukazał się na antenie w wyniku meldunku Czechowicza.

⁹⁾ Jan Nowak, op. cit., s. 304.

¹⁰⁾ Prof. Erwin Koschmieder, sławista, przed wojną wykładowca na USB w Wilnie, po wojnie na uniwersytecie monachijskim. Por. *Siedem trudnych lat*, s. 345–347.

¹¹⁾ Andrzej Czechowicz, op. cit., s. 128–129.

UWAŻAĆ, BO ONA LUBI BRYKAĆ!

- co się stało z ludźmi nieprzekupnego podziemia

Stanisław Srokowski

Tak charakteryzowali Hanię UB-ecy. A Hania ze słuchawkami na uszach, patrzyła przez zamglone okno na dachy domów. Namierzali ją długo. Scigali, jak dzikie zwierzę, gonili, śledzili, wściekali się, że jest nieuchwytna. W słuchawkach trzaski, nawoływania, hasła, komendy: „Biała torebka przesunęła się w stronę Rynku”. „Kazik schodzi z posterunku”. „Skaczcie pod PDT”. Szmer, trzaski, chrapliwe głosy. Od wielu dni była na nasłuchu. Wyszła z politechniki. Pracowała w bibliotece. Nikt jej nie podejrzewał, że ona, „szara mysz”, jak ją kiedyś nazywano, niedługo będzie ścigana listem gończym. Na razie patrzyła na dachy domów.

Nie pamięta o czym wtedy myślała. Może o tym, jak jeszcze raz zmylić tropy. A może o własnym domu. Siedziała w „wypożyczonym” mieszkaniu. Już wielokrotnie zmieniała „stancję”. Może myślała o tym. O nowym „schowku”, o nowej dzielnicy, o nowych, życzliwych ludziach? A może myślała o swoich dzieciach? Co się z nimi dzieje? Co robią? Jak się czują? Najmłodsza Wiga, chodziła do przedszkola, miała 5 lat. Starsza Zosia, miała 14. Syn, Edek 13. Dzieci uczyły się samodzielności. Była to ostra, surowa szkoła męstwa, odwagi. Ojciec mieszkał osobno.

Dzieci były zdane na siebie.

Może właśnie tego dnia Hania o nich myślała? Może chciała przysparzać do siebie najmłodszą Wigę? Otulić ją, opowiedzieć bajkę do snu? Ale nie było tulenia, czułości, bajek. Nie było pieśzczoł. Były kamienne mury i chrapliwe głosy UB-eków w słuchawce. Teraz nie chce się przyznać, czy ból rozrywał jej serce. Nie mówi o tym. Patrzy na mnie pięknymi, zielono-piwnymi oczami, jakby nie rozumiała, o co ją pytam. Nie pamięta, czy wbijała sobie wtedy paznokcie w dłoń. Czy zaciskała zęby, aż do ostego, piekącego bólu, żeby zabić pamięć o Widze, Zosi, Edku. Nie wspomina, że nie widziała ich przez długie tygodnie, a potem miesiąc. O czym wtedy myślała, patrząc w ciemność. Co naprawdę widziała? Czy widziała Wigę, jak nie może zasnąć? Jak się obraca z boku na bok i dławi płacz, by starsza siostra nie usłyszała jej jęku. Jak nad ranem krzyczy przez sen, mamó! Nie, Hania o tym nie wspomina. Uśmiecha się milcząco, wyrozumiale, wybacząco. Tylko jej dłonie są niespokojne, jakby nie mogła sobie znaleźć miejsca. Jakby chciały oderwać się od niej, odfrunąć.

Siedzi przede mną, z delikatną, drobną twarzą, z mądrymi oczami, usiłuje zapanować nad rękami. Ciemne włosy ładnie uczesane, na uszach piękne klipsy. Jest noc, dochodzi druga, obok nas Marianna, „dziewczyna z podziemia” Freda Poznańska, Ludwika Ogorzelec i koleżanka z Paryża. Moja żona, Maria, podała cistkę, herbatę, siedzimy, rozmawiamy. Minęło 10 lat od tamtych dni. Hania nie mówi o bohaterstwie, wolności, obowiązku, patriotyzmie. Nic nie mówi o swoim poświęceniu sprawie, Ojczyźnie. Nie padają wielkie słowa, hasła. Siedzi z podkulonymi nogami, jakby była dziewczynką. W pełni dojrzała, atrakcyjna, zgrabna kobieta. Oczy podkrążone. Znowu się nie wyśpi. Wpada do nas nocą. Nieraz dzwoni o dwudziestej i pyta, czy może przyjść. Kiedy indziej przychodzi bez zapowiedzi, siada na kanapie, kurczy nogi i patrzy tymi swoimi roziskrzonymi oczyma, jakby nigdy się nic nie stało. czasami pada słowo: Kornel. Musiałam go chronić mówi cicho. Nie opowiada, że była najbardziej zaufaną łączniczką Kornela Morawieckiego. Nawet teraz, po latach, kryje się w cieniu. Nie byłam najważniejsza - mówi cicho i przyryka oczy, jakby pod powiekami szukała usprawiedliwienia dla tego małego kłamstwa. Wokół wszyscy wiedzą, że bez niej wielokrotnie sieć podziemna pękłaby, rozerwałaby się. Ale Hania o tym nie mówi. Nie mówi także wprost, jak pokonała w sobie strach przed ludźmi. Nie przed UB, pałkami, katowaniem. Ale przed ludźmi. W gruncie rzeczy jest nieśmiała, powściągliwa, milcząca. Skąd w niej znajdowało się wówczas tyle siły, hartu, samozaparcia?

Tyle odwagi? - myślę. Pewnie znowu nie spała. Nadal żyje nocami. Gdy zapada zmierzch, Hania wychodzi z domu. Być może sama nie wie, że to w niej zostało z podziemia. Krąży nocami po znajomych. Telefon milczy. Hania w domu nie ma.

Dzisiaj jest elegancka, zadbana. Lecz bywają tygodnie, gdy nie ma czasu na nic, na ładne ubranie, szminkę, lusterko. Biega, goni, pomaga ludziom, wspiera słabych, pociesza, mówiąc słowami Ewangelii, strapionych, potrzebujących, wołających o kromkę chleba, o dobre słowo. Hania nie ma w domu, bo Hania służy, przynosi, odnosi, zanosi, pomaga, radzi. Sama żyje w ubóstwie, niemal w nędzy. Jeszcze niedawno nie pracowała. Nikt nie zaproponował jej pracy. W jej dawnej bibliotece zapomniano o niej. Jakby jej dawno nie było. Hania nie lubi prosić, błagać, pchać się. Nie umie walczyć o swoje. Żyje skromnie. Jej mieszkanie to trzy izby, stara dziewięćdziesięcioletnia matka, wiecznie zatroskana znikającą córką. Wiga chodzi do I klasy liceum. Starsza córka, Zosia, opuściła dom. Syn w Kanadzie. Rodzina się rozproszyła. Pod blokiem pożyczony maluch, chyba dziesięcioletni. Drzwi się rozlatują. Hamulce ledwie działają. Światła się nie zapalają. Hania wsiada, nie zważając na nic. Wsiada, bo musi pomóc chorej koleżance, potrzebującej pomocy znajomej, obcemu człowiekowi, który się do niej o coś zwrócił.

Siedzi z podwiniętymi nogami, naciska gałki oczne. Znowu ból głowy. Już dawno po północy. Nie może wyzwolić się od przeszłości. Od 13 grudnia, podziemia, ucieczek, wpadek, nasłuchów, komunistów, Ubeków. Nie przeklina, nie krzyczy. Jej głos jest spokojny, nawet jakby liryczny, dziewczęcy. Chwilami drży. Hania tłumy w sobie jakieś mocniejsze uczucie. Coś w sobie dławi.

Wszystko mi przypomina tamten czas. Ulice, domy, bramy, zaułki - patrzy na swoje ręce. Wzrok zatrzymuje się na palcach, jakby stamtąd miała się wyłonić cała mapa przeżyć, doznań, utraconych, wątpliwości, nadziei. Nie ma dzielnicy, ulicy, bloku, gdzie by się coś nie stało. Osiem lat! Osiem lat podziemia, ucieczek, strachu, zmyłek, bólu, więzienia, przesłuchań.

Hania zacisnęła mocniej dłonie, przymknęła oczy. Przyczyny listu gończego? - otworzyła oczy. To był luty, nie wróciłam do domu, widziałam, że tropią mnie, jak psy. Zauważyłam dużą obstawę za sobą. Było ich znacznie więcej niż zwykle. Gonili. Widziałam jadące samochody. Stałam przez chwilę na placu. Ich samochody zatrzymały się przy Muzeum Narodowym. Biegiem wskoczyłam do tramwaju. Samochody szybko zawróciły. Najpierw były trzy, potem dołączył czwarty. Na jakimś skrzyżowaniu wyskoczyłam i rzuciłam się do taksówki. Dojechałam do Zalesia. Zdawało mi się, że ich zgubiłam. Szybko wysiadłam. Pobiegłam za jakiś mur. Postąpiłam w bramie, Nikogo nie dostrzegłam. Złapałam następną taksówkę. Pojechałam w przeciwną stronę. Wyobraźnia podpowiadała mi niesamowite sceny. Że gonią mnie z boku, że liczba agentów mnoży się. Wszędzie wietrzyłam niebezpieczeństwo. Po dwóch godzinach dotarłam do miejsca naszego nasłuchu i zorientowałam się, że ubeccja mnie zgubiła. Skontaktowałam się z Kornelem i dowiedziałam się, że była to groźna dla nas akcja. Były aresztowania.

To był maj 1983 r. - Wrocław. I oto nowy maj, 1984 r. Odwiedziłam koleżankę z podziemia, a ona cała przerażona pokazuje mi gazetę i mówi: „poszukują cię listem gończym”. Chyba oniemiałam. Może zbłądłam. Nie pamiętam. Miłam anemię. Mało spałam. Miesiąc wcześniej aresztowano 30 osób, większość kobiet. Zrozumiałam, że to nie przelewki. A przecież miałam dom, dzieci.

Kiedy koledzy z konspiracji pragnęli do mnie dotrzeć i pytali Zosię o drogę, ona zawsze milczała. Potem wszyscy stwierdzili: Ona nie pisze słowa! A Zosia tylko patrzyła tymi swoimi czarnymi oczami i trwała jakby w zakłęciu. Nic z niej wydostać nie można było. Nic. Chodziła do przedszkola i odbierała na przemian z Edkiem Wigę. Któregoś dnia wpadli do moich dzieci UB-ecy i

zaczęli straszyć, że jak nie powiedzą, gdzie jestem, to zabiorą je z sobą. A jak matkę znajdą, tak mówili, to ją zabiją. Weszło ich, jak się później dowiedziałam z kilkunastu mężczyzn. Zaczęli straszyć domem dziecka. Syn wyleciał na balkon i krzyknął że wyskoczy.

Hania przerywa. Zmieniła się na twarzy, jakby się bardzo zmęczyła. Nagle wydała się chudsza, wymizerowana.

- Gdy się pojawił ten list, moje sąsiadki i inni ludzie żywo zareagowali - ciągnęła. Dzieci znalazły pomoc, sąsiadka przyprowadzała Wigę z przedszkola. Ktoś przynosił jedzenie. To były bardzo wzruszające, piękne gesty ludzkiej, milczącej solidarności. List gończy połączył sympatię wielu ludzi i bardzo mi pomógł.

A UB-ecy wzmogli swój pościg. Od listu gończego ani razu nie pokazałam się w domu. Nie, raz tylko byłam, gdy dowiedziałam się, że dziecko jest chore. Coraz bardziej ufałam ludziom. Im bardziej oddalał się stan wojenny, z tym większą ufnością patrzyłam na ludzi. Nieraz podjeżdżałam taksówką niemal pod dom, wierząc, że nikt mnie nie sypnie. Wprawdzie kilka osób zdradziło mnie, lecz przyznało się do tego, kajali się potem przede mną. Przynajmniej wiedziałam, co komu zawdzięczam. Sypał mnie p. K. Sypał p. Z. Przynajmniej wiedziałam, kto to robi. Z kobietami się lepiej współpracowało. Ja się w konspiracji bardzo zmieniałam. Miałam kilkanaście peruk, ale nie zawsze z nich korzystałam. Pojechałam do B. by jej powiedzieć, że może być śledzona. Wynikało to z nasłuchu. Jechałam z Madzią, samochód i Madzię zostawiłam za rogiem. Powiedziałam jej, że jak za dziesięć minut nie wrócę niech odjeżdża. Poszłam na górę, to było na Krzykach, między Ślężną a Sudecką, weszłam na 4 piętro, nikogo podejrzanego nie zauważyłam podrapałam do drzwi i B. otworzyła. Rozmawialiśmy na migi. Bałam się trochę że B. nie jest czysta. Kilka dni wcześniej wpadła jej koleżanka. Jej aresztowanie było dla mnie dowodem, że ktoś sypie. Mówię więc jej, że jest namierzona. Ona oburza się że to niemożliwe. Ja jednak upieram się przy swoim. Przedstawiam dowody z nasłuchu. I w tym momencie słyszymy walenie do drzwi. Zaczęło się. Stałyśmy jak sparaliżowane. Ja miałam przy sobie ważne, tajne dokumenty. Gdy się wdarli i zaczęli przeszukiwać mieszkanie, spytałam, czy mogę wejść do toalety, dając do zrozumienia, że dotyczy to spraw kobiecych. Zgodzili się. Zobaczyłam w kacie duży kosz z brudną bielizną. Szybko wepchnęłam tam tajne dokumenty. Nie wiedziałam natomiast co mam zrobić z trzema dowodami. Zabrali mnie na komendę.

Następnego dnia we wrocławskiej prasie ukazał się następujący komunikat: 6 czerwca 1984 r. w godzinach nocnych SB WUSW we Wrocławiu zatrzymała ukrywającą się w mieszkaniu najbliższą współpracownicę Kornela Morawieckiego, Hannę Łukowską-Karniej... Była ona poszukiwana listem gończym, ponieważ od 1982 r. zajmowała się organizowaniem druku nielegalnych wydawnictw, punktów kolportażu oraz mieszkań konspiracyjnych dla „Solidarności Walczącej”. Zatrzymana miała przy sobie również trzy dowody osobiste na nazwiska osób obcych.

Hania więc wpadła. W „Biuletynie Dolnośląskim” (wydanie nadzwyczajne) jej koleżanka, Marianna Żabińska, opublikowała krótką notę pt. Hania. Pisała w niej:... *Hania była nadzieją zabieganych, normalnych ludzi... Potrafiła znajdować ludzi do pracy szarej, żmudnej, takiej, która nie przynosi rozgłosu. Ci „nieznani żołnierze” uwielbiali Hanię. Spośród nas wszystkich była w najtrudniejszej sytuacji.*

Z jednej strony wierność moralnym wyborom, a z drugiej trójka niepełnoletnich dzieci. Chciała godzić zobowiązania z miłością matki. Kompromis był coraz trudniejszy. Dom, dzieci i znajomi zostali poddani totalnej inwigilacji... My, którzy widywaliśmy Hanię w tym czasie, zdajemy sobie sprawę, ile kosztowała ją rozłąka z dziećmi.

Listopad 1987 r. Tym razem wpada także Morawiecki, Hania siedzi w więzieniu do kwietnia, 1989 r. Pół roku dzieci same. *Inni dużo cięższy krzyż dźwigali na swoich barkach* - mówi. *Zaciska dłońmi powieki. Wielu ludzi siedziało. Znęcano się nad nimi. Bito. Kości łamano* - mówi szeptem. *Ze mną nie było aż tak źle - po chwili dodaje. W końcu wyszłam cała.* Nie mówi, że jej zdrowie było tak mocno nadszarpięte, że do dzisiaj odczuwa tego skutki. Nie mówi, jak ciężkim cieniem położył się czas więzienny na jej duszy.

Nie mówi o bólu, rozpacz, cierpieniu. zaciska zęby, gdy wspomina, iż niektóre kobiety nazywały ją złą matką, ponieważ porzuciła dzieci dla konspiracji. *Może i na to zasłużyłam?* - unosi ramiona.

Nigdy nie przestała konspirować. Nadal była najważniejszym ogniwem w sieci SW. Kornela Morawieckiego wyrzucono siłą z granic. Hania wiązała podziemne struktury.

Akuratnie, gdy kończymy rozmowę, na ekranie pojawia się twarz gen. Kiszczaka. Obok siedzi Adam Michnik, a z drugiej strony książdż prof. Tischner. Generał Kiszczak wygłasza przemówienie ku chwale Michnika. Mówi o patriotyzmie, odwadze, męstwie niedawnego jeszcze opozycjonisty, ganianego, prześladowanego, bitego.

Hania przeciera oczy. Zdaje się nie wierzyć własnym uszom. Michnik odważnie mówi dobrą słowem. Pełna harmonia. Hania patrzy, jakby się jej coś przywidziało. Nie mówi, czy jest oburzona, wściekła. Nie mówi nawet, że tego nie rozumie. Patrzy tylko rozszerzonymi oczami na obraz i marszczy czoło. Kiwa głową, jakby to był sen. Nie pojmuje jak to się stało, że oprawcy i poniżani, mordercy i zniewoleni, uśmiechają się do siebie, biją przed sobą ukłony, są sobie bliscy, zasiadają, bratają się, łączą.

Zdaje się pytać: - Po co były lata walki? Ofiar?! Więzień?! Kazamatów? Obozów śmierci?! Milionów pomordowanych?! Czy po to by kaci grali rolę bohaterów, by duchy górników z kopalni „Wujek” też przebaczą zbrodniarzom? Czy matki pomordowanych górników z Lublina, także uściskną dłonie morderców swoich dzieci?

Nie wiem, czy dochodzi do niej myśl: Wybaczcie, a będzie wam wybaczone? Rozstajemy się w milczeniu. Hania ubrana w stary płaszcz, idzie do domu z pochyloną głową.

Nie wiem, o czym myśli.

JAK ROZWIĄZAĆ SPRAWĘ PRYWATYZACJI

Kazimierz Dadak

Problem prywatyzacji gospodarki uspołecznionej jest jedną z najbardziej palących kwestii przed którą stoją wszystkie kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Mechaniczna zamiana własności państwowej na własność prywatną bynajmniej nie gwarantuje automatycznego usprawnienia funkcjonowania gospodarki. Stąd też sposób w jaki sprawa ta będzie rozwiązana w dużym stopniu determinuje możliwości rozwoju ekonomicznego tych państw.

Jak do tej pory tempo prywatyzacji jest bardzo powolne ze względu na brak rodzimego kapitału, trudności w szacowaniu majątku państwowego oraz brak banków inwestycyjnych i rynków finansowych. Te powyższe problemy można jednak stosunkowo łatwo przezwyciężyć przy pomocy jednego bardzo prostego kruczka od dawna znanego w systemach rynkowych: akcji o nierównych prawach głosu.

W tym miejscu niezbędna jest dłuższa dygresja. Ogólnie rzecz biorąc są dwie podstawowe klasy akcji: zwykłe (*common stocks*)

i preferowane (*preferred stocks*). Różnica pomiędzy nimi polega głównie na tym, iż posiadacze akcji preferowanych mają zagwarantowany określony przychód z dywidendy, lecz na ogół nie mają prawa głosu podczas walnego zgromadzenia akcjonariuszy, natomiast posiadacze akcji zwykłych cieszą się dokładnie odwrotnymi przywilejami, mają prawo głosu, szczególnie prawo wyboru rady nadzorczej, lecz nie mają zagwarantowanej dywidendy.

Podział ten jest istotny dla wypuklenia dwóch najważniejszych cech akcji (kapitału udziałowego). Nabywca akcji stając się współwłaścicielem firmy uzyskuje prawo do udziału w zyskach (dywidenda), oraz prawo do współudziału w zarządzaniu przedsiębiorstwem, choćby w sposób pośredni, poprzez prawo wyboru rady nadzorczej (dyrektorów). Na ogół ten drugi element jest pomijany milczeniem, aczkolwiek z punktu widzenia celowości prywatyzacji jest on szalenie istotny. Albowiem, prywatyzacja

tylko wówczas spełni swą ekonomiczną i społeczną rolę, jeśli kontrola nad przedsiębiorstwami przejdzie w ręce prywatnych udziałowców. Kwestia, czy przedsiębiorstwo będzie płacić dywidendy i w jakiej wysokości, jest drugorzędna, udziałowcy mogą bowiem uzyskać dużo wyższy dochód w sytuacji gdy ceny akcji idą w górę w postaci tzw. zysku kapitałowego (kupił tanio-sprzedał drogo).

Zatem główna rola giełdy, miejsca gdzie spotykają się oszczędzający z przedsiębiorcami, polega na przenoszeniu praw własności pomiędzy tymi dwiema kategoriami ludzi. Pierwsi lokują pieniądze w akcjach w zamian za prawo kontroli nad losami firmy, oraz przyszły udział w zyskach (dywidendy), zaś drudzy uzyskują potrzebny im kapitał którym mogą obracać. Element zysku w tej operacji niezbędny jako zachęta oszczędzających oraz jako kompensata za ryzyko jakie nieuchronnie niesie z sobą działalność gospodarcza.

Rzecz jasna, jak przystało na system w którym obowiązuje konkurencja, przedsiębiorcy wypuszczający akcje chcą zachować jak największą kontrolę nad swymi przedsiębiorstwami. Stąd też powstała idea podziału akcji zwykłych na „klasy”. Praktycznie jedynym elementem różniącym owe klasy jest prawo wyboru rady nadzorczej. Np. Ford Motor Company ma dwie kategorie akcji zwykłych: zwykłe oraz zwykłe „klasy B”. Wbrew swej nazwie, akcje klasy B dają ich posiadaczom (potomkom H. Forda i kilku instytucjom) dużo większą „siłę głosu” w wyborze członków (dyrektorów) rady nadzorczej. Tym samym, ta wąska grupa, której udział finansowy wynosi tylko ok. 8%, kontroluje ok. 40% wszystkich głosów. Ze względu na ten niedemokratyczny charakter giełda nowojorska nie rejestruje papierów wartościowych nowych przedsiębiorstw wypuszczających akcje zwykłe o niepełnym prawie głosu.

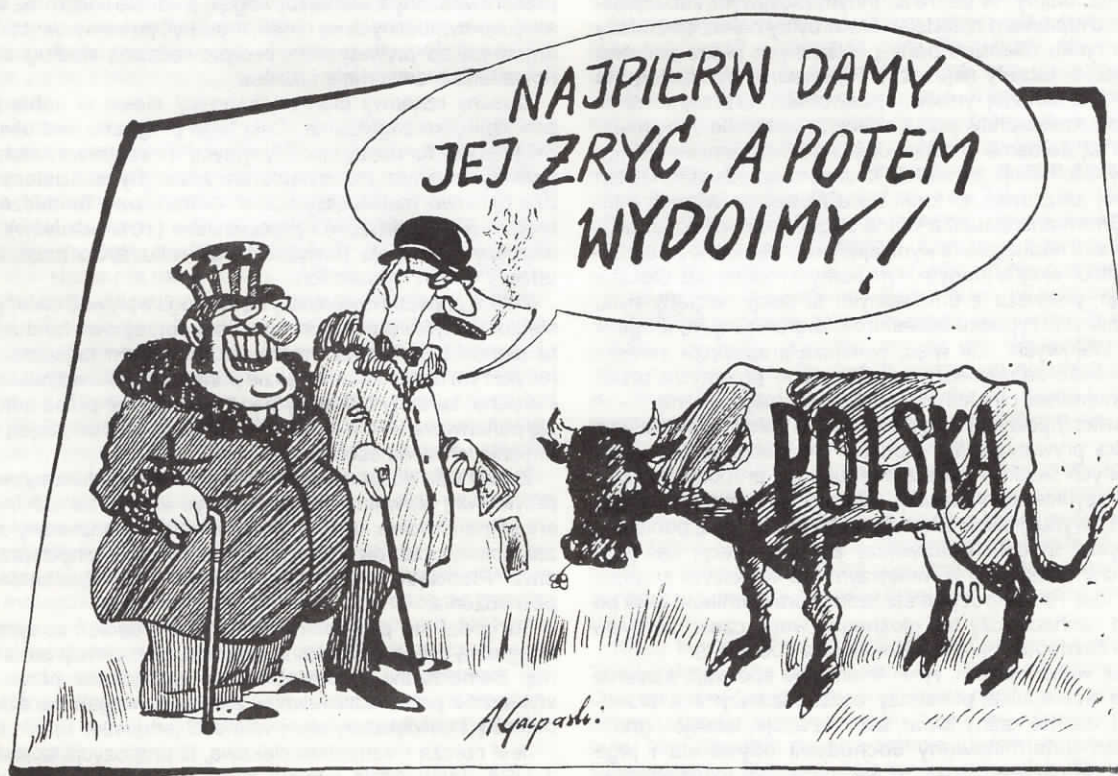
W przypadku przedsiębiorstw prywatyzowanych ów *trick* stałby jednak dokładnie odwrócony. Osoby prywatne kupowałyby akcje zwykłe z pełnymi prawami głosu, natomiast państwo pozostawiałoby w swej dyspozycji akcje, idealnie rzecz biorąc, bez prawa głosu. Akcje pozostające w gestii państwa posiadałyby jednak klauzulę pozwalającą na ich zamianę (konwersję) na akcje z pełnym prawem głosu w momencie sprzedaży na wolnym rynku. Tym samym, w pierwszym etapie wystarczyłoby by państwo sprzedało niewielką część udziałów w przedsiębiorstwie, powiedzmy 5%, by kontrola nad firmą przeszła w ręce prywatne.

Kolejne etapy polegające na konwersji akcji i ich sprzedaży szerokiej publiczności mogłyby trwać nawet dziesięciolecia, ale już od samego początku prywatni udziałowcy posiadaliby pełną kontrolę nad przedsiębiorstwami.

Taka procedura pozwoliłaby na bardzo szybką prywatyzację gospodarki. Jak wspomniałem na wstępie, sama zmiana tytułu własności jeszcze niczego nie gwarantuje, dopiero otwiera możliwości. W systemie rynkowym wartość akcji na giełdzie jest miernikiem sprawności zarządzających. Podobnie wymogi składania sprawozdań udziałowcom pozwalają na ocenę działalności kierownictwa. Zatem udziałowcy uzyskują podstawy do podejmowania decyzji dotyczących się selekcji zarządu, długofalowej polityki finansowej, inwestycyjnej, etc. Tym samym prywatyzacja pozwoli na powszechne uruchomienie mechanizmów charakterystycznych dla samorządnych wspólnot.

Trudno sobie na przykład wyobrazić by akcjonariusze nie podnosili krzyku gdy majątek przedsiębiorstwa jest wyprzedawany za bezcen spółkom nomenklaturowym. Szybka prywatyzacja jest tedy *panaceum* na ten proceder. Bowiem z gospodarczego punktu widzenia „uwłaszczenie nomenklatury” jest procesem ze wszech miar szkodliwym. Kontrola nad majątkiem produkcyjnym przechodzi w ręce osób, które udowodniły że nie są zdolne do skutecznego działania gospodarczego. Majątek ten, zamiast stanowić bezę rozwoju, zostanie roztrwoniony, tyle że jako własność prywatna a nie państwowa.

Prywatyzacja gospodarki poprzez wypuszczenie akcji o różnym prawie głosu rozwiązuje także inny bardzo istotny problem: kwestie wyceny przedsiębiorstw. W obecnej chwili rzetelna wycena jest zupełnie niemożliwa ze względu na bardzo niejasną sytuację ekonomiczną. Przyszłe dochody przedsiębiorstw, podobnie jak i wysokość stopy procentowej, czyli główne elementy niezbędne do szacunku przy pomocy powszechnie na Zachodzie stosowanej metody dyskontowanych przychodów (*discounted cash flow*) są praktycznie nieznane. Zatem jakiegokolwiek szacunki niczym nie różnią się od brania cen z sufitu. Jednak w momencie, gdy w pierwszym etapie państwo sprzedaje jedynie drobny ułamek udziałów sprawa wyceny akcji przybiera trzeciorzędny charakter. Groźba wyprzedawstwa przedsiębiorstw za bezcen znika, ponieważ *gross* akcji będzie sprzedawana poniżej, w sytuacji gdy, miemy nadzieję, sytuacja ekonomiczna będzie bardziej stabilna, i to po cenach już ustalonych przez rynek.



W związku z powyższym, proponowany sposób prywatyzacji ma i tę zaletę, iż minimalizuje udział biurokratów w tym przedsięwzięciu. Wszelkiego rodzaju konsultanci mający szacować wartość firm, nie mówiąc o całym ministerstwie d/s prywatyzacji, stają się praktycznie zbędni. Wystarczy niewielka grupa ekspertów do opracowania ram prawnych dotyczących się uprawnień udziałowców, wymogów sprawozdawczości, itp. oraz równie mikroskopijny zespół do pierwotnej wyceny firm, która jak to wyżej nadmieniałem może mieć jedynie charakter symboliczny.

Jak uprzednio wspominałem, idealnie rzecz biorąc, państwo winno pozostać z akcjami pozbawionymi prawa głosu. Świat nie jest jednak idealny i czytelnik zapewne może mieć wątpliwości, czy jest rzeczą sprawdziłą by państwo, jakby nie było instytucją, która po pierwszym etapie prywatyzacji ciągle będzie posiadać lwią część udziałów w przedsiębiorstwach, by pozbawione głosu w sprawie ich losu. Jednak jak do tej pory państwo wykazało całkowitą niezdolność do sprawnego kierowania przedsiębiorstwami i w tej kwestii ani nic się nie zmieniło, ani się nie zmienia. Dlatego to zastrzeżenie odnosi do zupełnie innej sytuacji.

Ktokolwiek obserwował rynki finansowe w latach osiemnastych ten słyszał terminy „take-over”, czy „corporate raider”, oznaczające próby, na ogół uwienczone powodzeniem, przejmowania kontroli nad niektórymi przedsiębiorstwami przez inne firmy - „najeźdźców”. W sytuacji, gdy na rynek jest wypuszczona ilość akcji reprezentująca zaledwie drobną część całego kapitału udziałowego przedsiębiorstwa proces osiągania kontroli nad firmami byłby szalenie ułatwiony. Jeśli, np. tylko 5% akcji jest w obrocie, to wystarczy wykupić jedynie 2,5%, a na ogół znacznie mniej, by efektywnie przejąć kontrolę nad daną korporacją. Byłaby to sytuacja idealna dla wszelkiego rodzaju cwaniaków, którzy przejmowaliby kontrole nad przedsiębiorstwami celem osiągnięcia szybkich zysków. Np. firma-najeźdźca osiągnąwszy kontrolę mogłaby zmusić opanowane przedsiębiorstwo do zawarcia z sobą kontraktów bardzo niekorzystnych dla owej „podbitej” jednostki. Najeźdźca mógłby tedy czerpać korzyści znacznie przewyższające koszty całego ataku. Ogólnie rzecz biorąc, istniałoby ogromne pole do nadużyć uzyskiwanych kosztem skarbu państwa, czyli kosztem społeczeństwa, jeśli przyjąć że dochód z prywatyzacji powróci doń, np. w postaci niższych podatków. Dlatego akcje będące w rękach państwa winny posiadać jeszcze jedną klauzulę, klauzulę umożliwiającą konwersję na akcje z prawem głosu, jeśli jakiś inwestor, lub grupa inwestorów działających wspólnie, wykupi więcej akcji będących w obrocie niż, dajmy na to: 10%. Innym możliwym zabezpieczeniem przed lupieniem przedsiębiorstw byłby nakaz sprzedaży na wolnym rynku dalszych partii posiadanych przez państwo akcji. Wówczas, udziały najeźdźcy odpowiednio by zmalały. Ta druga opcja jest bardziej rynekowa i pozwoliłaby na przejmowanie słabszych przedsiębiorstw przez silniejsze jednostki. Albowiem, najazdy nie są złe same w sobie. Jeśli są inwestorzy skłonni do kupna wszystkich akcji, bo sądzą, iż danym przedsiębiorstwem można lepiej zarządzać, to kroki takie należy ze wszelkich miar popierać. Omawiana klauzula winna służyć jedynie jako zabezpieczenie przed nadużyciami wynikającymi z niemożności sprzedaży wszystkich akcji w jednym i tym samym momencie. Ogólnie rzecz biorąc, pierwsza z omawianych tu opcji mogłaby mieć zastosowanie w przypadku inwestorów zagranicznych, druga w przypadku krajowych. Tak więc, niniejsza propozycja zawiera także możliwość zabezpieczenia rodzimego przemysłu przed przejmowaniem nad nim kontroli przez firmy zagraniczne.

Przedstawiony powyżej program posiada zalety jakie niesie z sobą szybka prywatyzacja, natomiast minimalizuje lub wręcz unika ujemnych skutków jakie zawierają inne propozycje zmierzające do szybkiej prywatyzacji. Weźmy na przykład sprawę darmowej dystrybucji akcji. Zajmuję się tą propozycją, ponieważ jest to „czysty” model, najłatwiejszy do prezentacji, zaś jego ujemne cechy obciążają, w mniejszym lub większym stopniu, mutacje tej idei, np. propozycje sprzedaży pracownikom akcji po obniżonych cenach, czy też głośnego swego czasu pomysłu obdarzenia każdego obywatela bonami na 100 mln zł.

Jak wyżej wspominałem, rynki finansowe spełniają szalenie istotną rolę pośrednika pomiędzy oszczędzającymi a przedsiębiorcami. Jak na każdy towar, tak i na akcje, istnieje ograniczony popyt determinowany dochodami obywatela i jego skłonnością do oszczędzania. To też, darmowe rozdzielnictwo

akcji, z jednej strony stworzyłoby kolosalną podaż papierów wartościowych, z drugiej strony obdarzyłoby ludność instrumentami finansowymi zupełnie zniechęcającymi do oszczędzania. Z dnia na dzień, szary obywatel uzyskałby, by pozostać przy owej sumie 100 mln zł. kwotę wielokrotnie przewyższającą jego roczne dochody. Owe 100 mln to równowartość oszczędności co najmniej jednego pokolenia. Zatem, mielibyśmy do czynienia z potworną podażą akcji, bo przecież ludzie chcieliby niezwłocznie upłynnić ten nadmiar papierów wartościowych by nabyć upragnione dobra materialne, połączony z zupełnym brakiem popytu. W chwili obecnej obrót akcji jest ograniczony do pięciu firm, a i tak czasami nie dochodzi do transakcji ze względu na brak kupców, zatem w sytuacji wolnego rozdzielnictwa papierów wartościowych giełda nigdy by nie zaczęła funkcjonować ze względu na ogromny „nawis” papierów wartościowych. Wszelkie ograniczenia dotyczące się np. terminu w którym można sprzedać otrzymane akcje, itp. jedynie rozłożą to zjawisko w czasie, lub ograniczą jego siłę, ale nie zmieniają jego istoty. Można sobie również łatwo wyobrazić jakie skutki inflacyjne miałyby taka operacja. Darmowa dystrybucja akcji miałaby katastrofalne skutki także i dla rodzącego się sektora prywatnego. Przedsiębiorcy sprzedając udziały w swych firmach by zdobyć fundusze niezbędne do ekspansji. Nie gwoili przyjemności wysłuchiwanie narzekań akcjonariuszy podczas walnych zgromadzeń. Tak jak kiedyś Fordowie, Morganowie, czy Mellonowie stanęli przed koniecznością uzyskania kapitału poprzez sprzedaż akcji, tak i nasi rodzimi przemysłowcy będą musieli uczynić to samo. Jednak w sytuacji gdy rynki finansowe będą zalane papierami wartościowymi prywatyzowanych firm państwowych możliwości zdobycia kapitału będą bardzo utrudnione. Jednym z czynników umożliwiających Japonii tak dynamiczny rozwój jest szalenie „tani” kapitał udziałowy. Znaczący to, że japoński przedsiębiorca sprzedaje swe akcje dużo drożej (w stosunku do dochodu z dywidendy, lub zysków przedsiębiorstwa) niż może to uczynić jego amerykański lub zachodnioeuropejski konkurent. Zatem, w przypadku darmowego rozdzielnictwa, lub nawet masowej sprzedaży przedsiębiorstw państwowych, polski przedsiębiorca znajdzie się w sytuacji gdy „koszt” kapitału udziałowego będzie bardzo wysoki. Polski byznesmen będzie musiał albo płacić bardzo wysokie dywidendy, albo tanio sprzedawać akcje swojego przedsiębiorstwa. Fakt ten będzie stanowił nader poważną barierę na drodze rozwoju rodzimego kapitalizmu. Zatem, choćby tylko z tego ostatniego powodu poces prywatyzacji musi być przeprowadzony z wielką rozumą i, w sensie ilości oraz wartości akcji wprowadzanych na rynek, musi być powolny. Jest to kolejny argument za prywatyzacją przeprowadzaną według zaproponowanego przeze mnie procesu.

Obecny rządowy plan prywatyzacji niesie w sobie jeszcze poważniejsze zagrożenie. Osią tego programu jest utworzenie około 20-tu „funduszy inwestycyjnych” (*investment funds*). Akcje prywatyzowanych przedsiębiorstw zostałyby rozdzielone pomiędzy państwo (największy udział - 30%), owe fundusze inwestycyjne (60% udziałów) i pracowników (10% udziałów). Z kolei wszyscy obywatele powyżej 18-go roku życia mają uzyskać udziały w tych funduszach.

Zatem prywatni inwestorzy będą mogli wpływać na losy przedsiębiorstw tylko w pośredni sposób, poprzez owe fundusze. Jest to jednak teoretyczna możliwość, poprzez największym pojędynczym udziałowcem będzie państwo (30% wszystkich akcji). Ponadto, zarządy funduszy będą mianowane przez administrację państwową i wiele lat upłynie zanim udziałowcy będą w stanie zmienić ich skład osobowy.

Zatem cała gospodarka zostanie „sprywatyzowana”, lecz pod przykrywką prywatnej własności kryć się będzie *de facto* własność państwowa. Innymi słowy, monopol państwowy zostanie zastąpiony przez ok. 20 konglomeratów kierowanych przez państwo. Przeciętny obywatel nie będzie mieć absolutnie nic do powiedzenia.

Tu godzi się przypomnieć, iż rozwój spółek akcyjnych był integralną częścią powstania systemu demokracji parlamentarnej. Samorządne przedsiębiorstwa zarządzane przez władze wybierane przez udziałowców stanowiły wspaniałą szkołę demokracji i powiększały sferę wolności jednostki.

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą, iż propozycja ta jest rodem z USA, kraju gdzie istnieje specjalne ustawodawstwo ogra-

niczące działalność funduszy inwestycyjnych, szczególnie wysokość udziałów jakie instytucje te mogą nabyć w poszczególnych przedsiębiorstwach. Te regulacje prawne istnieją właśnie po to, aby uniknąć dominacji tych obracających gigantycznymi kwotami instytucji nad gospodarką. By nie były one zagrożeniem dla samorządności przedsiębiorstw, a pośrednio i dla demokratycznego charakteru całego społeczeństwa. Zatem projekt ten, oprócz negatywnych skutków gospodarczych jakie są związane z darmową dystrybucją akcji, stworzyłby strukturę polityczno-gospodarczą charakterystyczną raczej dla Włoch z czasów Mussoliniego niż demokracji parlamentarnej do której mamy zmierzać. Na nic nim arcydemokratyczne konstytucje jeśli nie będą one wypełnione samorządymi instytucjami.

Omawiając sprawę prywatyzacji nie sposób nadmienić, iż giełda to niesłychanie delikatny mechanizm oparty na wolnej umowie dwóch stron. Poszczególne jednostki nie muszą kupować akcji, nie muszą nawet składać pieniędzy w banku. Do tej pory są w USA ludzie, którzy nigdy nie nabyli żadnej akcji, czyli nie dostarczyli funduszy przedsiębiorcom, ponieważ ich rodzice stracili cały majątek podczas krachu w 1929 r. Toteż od tego w jaki sposób prywatyzacja zostanie przeprowadzona zależeć będzie w ogromnym stopniu stosunek ludzi do instytucji giełdy, a co za tym idzie i nasza przyszłość gospodarcza.

Niestety początki bardzo źle wróżą. Już sam fakt udania się po naukę do Francji budzi zdumienie. Giełda paryska, nie wspominając o liońskiej, jest najbardziej zacofana instytucja spośród dużych ośrodków finansowych. Niezwłocznie przychodzi na myśl lata siedemdziesiąte i hurtowy zakup przestarzałych licencji przez ekipę Gierka. Fakt, że giełda warszawska jest otwarta raz w tygodniu i funkcjonuje w zupełnie anachronicznym systemie, gwarantuje, że żaden przyzwoity zachodni makler nie zgłosi do niej akcesu. Również Polacy skłonni inwestować w akcje udadzą się gdzie indziej. Dziś operacje maklerskie załatwia się przez telefon i nie ma absolutnie najmniejszych przeszkód by rodacy nie mieli kupować akcji w Nowym Jorku, Londynie, lub Tokio. Oznaczać to będzie, iż Polacy będą dostarczać funduszy obcym przedsiębiorcom, że uboga Polska będzie eksporterem kapitału.

Dalsze kroki robią równie fatalne wrażenie. Na całym świecie jest przyjęte, iż firmy organizujące wprowadzenie akcji nowych przedsiębiorstw na rynek (*underwriters*) tworzą tzw. syndykat, którego istotnym zadaniem jest utrzymanie przez pewien okres czasu ceny tych akcji na poziomie nie niższym niż cena po której je oferowano. Stanowi to gwarancję dla nabywców, iż wycena danej firmy została przeprowadzona właściwie. Fakt, że w Polsce, gdzie, jak wspominałem powyżej, uczciwy szacunek jest niemożliwy, nie przedsięwzięto podobnych kroków i dopuszczono

by rzesze drobnych ciułaczy straciły krocie, woła o pomstę do nieba.

Sytuacji na rynkach finansowych i samej kwestii prywatyzacji nie można rozpatrywać w oderwaniu od rzeczywistości ekonomicznej. Fakt, że Polska przechodzi przez okres nadzwyczaj ostrej recesji gwarantuje nikłe zainteresowanie papierami wartościowymi. Jeśli w wyniku obecnej polityki gospodarczej nasze stopa życiowa jest tak niska, że przeciętny Polak ok. 60% swego dochodu wydaje na żywność (pod tym względem jesteśmy chyba na pierwszym miejscu w świecie), to trudno oczekiwać hossy na giełdzie. Premier Thatcher prywatyzowała brytyjskie firmy po ich uprzedniej dokładnej reorganizacji i w okresie ekspansji gospodarczej oraz pomyślnych wiatrów na giełdach światowych. W Wielkiej Brytanii nikt również nie robił nadziei pracownikom prywatyzowanych przedsiębiorstw na darmowe, lub uzyskane po specjalnych cenach, akcje. Jest to bowiem podejście wyjęte raczej z Orwell'a („wszyscy są równi, ale niektórzy są równiejsi”) niż element demokratycznego kapitalizmu. W wolnym państwie pracownik za swą pracę dostaje nie jałmużnę w postaci darmowych udziałów w firmie w której jest zatrudniony, lecz godziwe pieniądze, z którymi robi co chce. Jeśli chce, to kupuje akcje firmy w której pracuje. Dlatego w Anglii pracownikom gwarantowano jedynie pule akcji, które oni nader chętnie nabywali, ponieważ ceny były atrakcyjne, a dzięki reorganizacji wiedzieli że nie kupują kota w worku. W Polsce państwo nie przeprowadza reorganizacji podległych mu przedsiębiorstw i w świetle polityki ochrony nomenklatury trudno oczekiwać tu jakiegokolwiek zmiany. Pozostaje mieć zatem nadzieję, iż prywatni udziałowcy podejmą to zadanie, które musi rozpocząć się od szerokiej wymiany kadr zarządzających. Z tego powodu jest szalenie ważne by państwo było pozbawione możliwości ingerencji w proces selekcji menedżerów prywatyzowanych przedsiębiorstw. Z drugiej strony, konieczne jest by proces prywatyzacji i reorganizacji objął jak największą ilość firm. Niniejsza propozycja spełnia oba te warunki.

Kazimierz Dadak, pochodzi z Krakowa, absolwent AE, obecnie zatrudniony jako prof. ekonomii w Fordham University w NY, specjalizuje się w finansach i makroekonomii, autor licznych artykułów naukowych i opracowań publikowanych m.in. w Wall Street Journal. Od października '93r. wyklada w America University w Bulgarii.

Powyższe rozważania są rozwiniętą wersją artykułu „A Solution for Eastern Europe's Privatization”, który ukazał się 2 maja 1991 r. w europejskim wydaniu amerykańskiego dziennika Wall Street Journal.

DEKOMUNIZACJA W POST-KOMUNISTYCZNEJ RZECZYWISTOŚCI.

Krzysztof Brzechczyn.

Problematyka dekomunizacji jest w naszym kraju przedmiotem manipulacji i dezinformacji. Większość środków masowego przekazu jest przeciwna jakiegokolwiek lustracji czy odsunięcia od wpływu ludzi powiązanych z dawnym systemem. W ten sposób dziedzictwo PRL-u ciąży nadal nad życiem społecznym Polski utrudniając jakikolwiek sensowny rozwój społeczny. Z tym większym zainteresowaniem należy przywitać publikację, która w jakiejś mierze stara się ukazać znaczenie i problemy wynikające z dekomunizacji życia społecznego Polski. Stało się to za sprawą niewielkiej książeczki pt. „Dekomunizacja i rzeczywistość”. W publikacji tej zawarte są wystąpienia uczestników zorganizowanej przez Biuro

Poselskie A. Macierewicza konferencji pt. „Dekomunizacja i rzeczywistość”. Gośćmi zaproszonymi z zagranicy byli: Była minister spraw wewnętrznych CSRF Petruska Sustrova, prezes Rady Fundacji „Wolna i Demokratyczna Bułgaria” Michail Berow oraz francuski dziennikarz Pierre de Villemarest.

Opublikowane wypowiedzi uczestników konferencji dzielą się na dwie części. W pierwszej, po wprowadzeniu A. Macierewicza, głos zabrali wyżej wspomniani goście zagraniczni. Natomiast w drugiej części wystąpili polscy uczestnicy konferencji: Krzysztof Łączyński, Leszek Żebrowski i Marian Marasek.

Antoni Macierewicz w swoim wystąpieniu skoncentrował się na trzech sprawach:

przedstawił historię dotychczasowych działań lustracyjnych w Polsce, omówił przygotowywane przez jego ministerstwo akty prawne, które miały być podstawą dekomunizacji życia społecznego w Polsce oraz dokonał oceny znaczenia działań dekomunizacyjnych dla społeczeństw Europy środkowo-wschodniej. Za konkluzję wypowiedzi A. Macierewicza należy uznać następujące zadanie:

„Trzeba spytać, o co się toczy ta walka. W moim przekonaniu, toczy się ona o suwerenność gospodarczą i o niepodległość polityczną państw Europy środkowo-wschodniej. A odsunięcie byłej agentury od wpływu na losy tych państw jest jednym z istotnych mierników stopnia ich faktycznej niepodległości”. (Dekomu-

nizacja i rzeczywistość. Warszawa 1993, str. 9)

Następną wypowiedzią było przemówienie byłej minister spraw wewnętrznych Czecho-Słowacji Petruski Sustrowej. W swoim wystąpieniu skoncentrowała się ona na sposobach obchodzenia ustawy lustracyjnej. Według jej oceny ustawę lustracyjną zrealizowano w 60% - 70%. Warto przytoczyć jeden ze sposobów omijania ustawy lustracyjnej:

„W jednym z istotnych ministerstw zastępcą szefa resortu był człowiek, który zgodnie z ustawą lustracyjną ze względu na swoją przeszłość nie mógł nadal piastować funkcji. Minister, przedstawiciel Ruchu Obywatelskiego (OH), uważał swego zastępcę, jak się już państwo domyślają, za wybitnego fachowca. Uważał, że bez niego resort nie może funkcjonować. Pozbawił więc wiceministra funkcji i... mianował go swoim doradcą. Ustawa doradców nie dotyczy” (tamże, str. 13)

Podsumowaniem wypowiedzi byłej minister może być następujące zdanie:

„ten, kto współpracował z komunistycznymi tajnymi służbami, ten działał politycznie, była to działalność szkodliwa dla społeczeństwa i doprawdy nie są istotne motywacje lub zakres tej współpracy. Dlatego po upadku reżimu komunistycznego człowiek taki nie powinien już zajmować się działalnością polityczną”. (tamże, str. 15)

Kolejną zamieszczoną wypowiedzią było wystąpienie Michaila Berowa, przewodniczącego Rady Fundacji „Wolna i Demokratyczna Bułgaria”.

W kraju tym uchwalono ustawę dekomunizacyjną, która:

„zabraniała sekretarzom partii komunistycznej, oraz profesorom marksizmu przyjmowania czołowych stanowisk na uniwersytetach oraz w radach naukowych. Przyjęło ją Zgromadzenie Narodowe i w czasie ostatnich wyborów żaden był komunistyczny przywódca nie zajął czołowego miejsca.” (tamże, str. 22)

Jednakże powstanie w parlamencie bułgarskim nowej większości spowodowało, że ustawa ta została zmieniona: Nowa większość parlamentarna:

„przyjęła dwie nowe ustawy dotyczące rekomunizacji. Ustawa o dekomunizacji uniwersytetów została zmieniona tak, że stała się zupełnie nonsensowna. Zmieniono też kodeks karny, a nowy artykuł 357a zabrania otwierania kartotek byłych tajnych służb.” (tamże, str. 22)

Zdaniem M. Berowa w parlamencie bułgarskim byłyby dotychczas trzy grupy: komunistów czyli socjaldemokracja, Unia Sił Demokratycznych, oraz partia turecka. W 1992 r. 34 posłów wystąpiło z USD i założyło Nową Unię Na Rzecz Demokracji. Rozłam ten, zdaniem M. Berowa inspirowany przez bułgarskie tajne służby, umożliwił ofensywę sił post-komunistycznych:

Następna opublikowanym wystąpieniem była wypowiedź Pierre de Villamarest. Zaanalizował on działalność funkcjonariuszy komunistycznych w krajach zachodnich. Jego zdaniem w ostat-

nim czasie dokonano transferu do banków krajów zachodnich około 50 miliardów dolarów. Pieniądże te ulokowano na około 7 tys. tajnych kont bankowych w Europie, Ameryce Łacińskiej i regionie śródziemnomorskim. Miejszem gdzie jest szczególnie duża koncentracja działalności spółek sowieckich jest Cypr.

Ważna jest, gdy chodzi o lokalizację takich kont, wyspa Cypr.

Na Cyprze istnieje 110 spółek sowieckich i około 2000 tajnych kont bankowych, których właścicielami są Rosjanie. Według A. Craiga Copestassę, autora książki „Polowanie na niedźwiedzie i Politbiuro” (która ukazała się w wydawnictwie Simon Schuster), pomiędzy styczniem 1991 a kwietniem 1992 przybyło z Rosji na Cypr 2 miliardy 600 milionów dolarów”. (tamże, str. 31-32)

Innym przejawem aktywności komunistycznej są regularne spotkania przedstawicieli różnych partii komunistycznych:

„Na przykład w Kalkucie, tak, to jest dość daleko stąd, od 5 do 7 maja bieżącego roku trwało spotkanie, w którym uczestniczyli przedstawiciele dwudziestu partii komunistycznych wszystkich kontynentów. W Indiach twierdzono, że celem miało być po prostu być określenie, jak sobie pomagać (tak jak to robili naziszi po wojnie), żeby stworzyć jakąś sieć, wspierać tych biednych ludzi, którzy stracili pracę i nie mają pieniędzy. Przykro mi ale ja nie wierzę w takie wyjaśnienia. Nie ufam partiom komunistycznym, kiedy spotykają się w Kalkucie, by omawiać problemy socjalne pracowników aparatu.” (tamże str. 34)

Podobne spotkania mają się regularnie odbywać na Kubie i w Brazylii. Zdaniem P. de Villamarest obecnie daje się zauważyć wyraźny wzrost aktywności funkcjonariuszy komunistycznych i agentów tajnych służb.

Celem tej wzmożonej aktywności ma być stworzenie nowego Kominternu oraz ponowne zagospodarowanie organizacji będących kiedyś pod wpływem KGB.

W drugiej części głos zabierali przedstawiciele Polski. Koncentrowali się oni wyłącznie wokół zagadnień polskich. Krzysztof Łączyński zreferował opracowanie byłego Wydziału Studiów Gabinetu MSW. Obecność agentury w życiu społecznym stawia Polskę przed trójwymiarowym rodzajem zagrożeń:

„1) Zagrożenie wewnętrzne, gdyż stwarza postkomunistycznym ugrupowaniom politycznym i środowiskom wielkiego biznesu, które przeciwko korzeniom tkwią w byłej nomenklaturze, możliwość paraliżowania państwa za pośrednictwem nie ujawnionej agentury służb specjalnych PRL. W przychylniej koniunkturze międzynarodowej oba te środowiska nie zawahają się użyć tego rodzaju instrumentu dla odzyskania dominującej roli w państwie.

„2) Zagrożenie zewnętrzne. Agentura ta może być instrumentem penetrowania, a nawet ograniczenia niezawisłości Polski przez inne państwa, a szczególnie przez Rosję. Prawdopodobne jest podjęcie próby utworzenia alternatywnych siatek

agenturalnych, działających poza kontrolą oficjalnych służb informacyjnych państwa.

3) Zagrożenie moralne i polityczne. Nieoczyszczenie instytucji państwowych z agentów oraz brak jasnego stosunku do minionego systemu i ludzi z nim związanych podważa prestiż państwa, stawia pod znakiem zapytania wiarygodność przemian ustrojowych, a także uniemożliwia odbudowę wiarygodnych instytucji demokratycznego państwa. (tamże, str. 42)

Istnieje np. trwały związek pomiędzy aferami finansowymi w III Rzeczypospolitej a działalnością agentury:

„Również brak radykalnych zmian personalnych w instytucjach finansowych i politycznych państwa tutaj może mieć swój rzeczywisty powód.

Wielkie afery finansowe, takie jak bardzo znane Art-B, czy FOZZ, były dokonywane pod osłoną i z udziałem oficerów oraz agentury byłego Zarządu II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i departamentu I MSW (Departament I to wywiad MSW).

Oto Grzegorz Żemek, główny podejrzany w śledztwie w sprawie FOZZ był tajnym współpracownikiem, a następnie pracownikiem kadrowym wywiadu na etacie niejawnym.

Oto dający osłonę spółce ART-B były prezes Narodowego Banku Polskiego Grzegorz Wójtowicz tajny współpracownik Departamentu I MSW.

Można zasadnie przypuszczać, że system finansowy Polski znajduje się obecnie pod kontrolą ludzi i struktur dyspozycyjnych względem byłych przełożonych, na przykład generała Kiszczaka, generała Pożogi, być może dysponentów spoza granic „Rzeczypospolitej.” (tamże, str. 44-45).

Inną dziedziną, w której dominuje była agentura PRL-u jest handel bronią:

„Dużym zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwa jest opanowanie przez byłych pracowników cywilnych i wojskowych służb specjalnych, a także ich agentury, tej szczególnej dziedziny życia gospodarczego kraju jaką jest handel bronią i sprzętem specjalnym. Typowym przykładem jest tutaj spółka Cenizin, która w pełni kontrolowana była przez kadrowych pracowników Zarządu II Sztabu Generalnego oraz ich agenturę. Sferą działalności byłych agentów oraz ich kontrolerów są także przedsiębiorstwa cywilne. Znany jest przykład jednej z central handlu zagranicznego zmierzającej do przejęcia kilkunastu zakładów przemysłowych w Polsce, w składzie władz której są niemal wyłącznie byli oficerowie Zarządu II Sztabu Generalnego, kryminaliści oraz byli tajni współpracownicy SB. Trudno jest w takiej sytuacji mówić o reformie i wprowadzaniu w Polsce zdrowych podstaw gospodarki rynkowej.” (tamże, str. 46-47)

Sferą, w której przeważają byli pracownicy SB są firmy ochroniarskie:

„Wielu negatywnie zweryfikowanych w roku 1990 funkcjonariuszy byłej SB i MO otworzyło firmy detektywistyczne czy ochrony mienia. Firmy te prowadzą często

działalność na pograniczu prawa, a nawet wręcz działalność przestępczą: korumpowanie urzędników państwowych, wymuszanie pieniędzy od dłużników na zlecenie wierzycieli, prowadzenie niedozwolonej inwigilacji, podsłuchów, perlustracji korespondencji, uprowadzenie dzieci zlecane przez osoby pozbawione praw rodzicielskich, kolportaż fałszywych pieniędzy, niedozwolone korzystanie z systemów informatycznych MSW, zatrudnianie na umowy-zlecenia funkcjonariuszy Policji. Zwalczanie konkurencji przypomina niekiedy uliczną wojnę gangów." (tamże str. 47)

Natomiast wypowiedź Leszka Żebrowskiego pt. „Ludzie UB - trzy pokolenia” koncentrowała się głównie wokół problematyki historycznej. Autor zwrócił uwagę, że większa część obecnych elit intelektualnych wywodzi się z Rodzin KPP-owskich i UB-ckich, które były nadzaniem w rękach Stalina podczas wprowadzania komunistycznego porządku w Polsce.

Ostatnią wypowiedzią zamieszczoną w omawianym zbiorze było przemówienie Mariana Maraska dotyczące lustracji i dekomunizacji w Wojsku Polskim. Autor wyraźnie odróżnia lustrację od dekomunizacji. Celem lustracji byłoby:

„Niedopuszczenie do zajmowania ściśle określonych stanowisk służbowych przez osoby, których dotychczasowa działalność (służbowa i pozasłużbowa) jednoznacznie oraz przeszłość polityczna jednoznacznie wskazują na powiązania

agenturalne ze służbami specjalnymi PRL lub innych państw, bądź funkcjonowanie w strukturach organizacyjnych tych służb dotyczyłoby to także osób, które pełniły służbę wojskową w Dowództwie Zjednoczonych Sił Zbrojnych Państw-Stron Układu Warszawskiego” (tamże, str. 62)

Natomiast dekomunizacja byłby to proces:

„relegowania ze struktur organizacyjnych Sił Zbrojnych przez przenoszenie do rezerwy lub w stan spoczynku osób, które w przeszłości współpracowały, bądź były etatowymi pracownikami służb specjalnych PRL lub innych państw, albo zajmowały stanowiska etatowe w pionie partyjno-politycznym wojska (na przykład w cywilnych organach partyjnych PZPR)” (tamże, str. 65)

Autor stwierdza, że procedura lustracyjno-dekomunizacyjna byłaby procesem długotrwałym obliczonym na około 20 lat. Tyle bowiem trzeba do wykształcenia nowej kadry dowódczej wojska.

Powyższa publikacja wydawnictwa „Amarant” zawiera wiele cennych informacji nieznanymi opinii publicznej pozostającej pod wpływem postkomunistycznych środków masowego przekazu. Szczególnie cenne wydają mi się informacje o procesach dekomunizacyjnych w Bułgarii i Czechosłowacji. Pozwala to umieszczać problemy Polski w szerszej, bo środkowo-europejskiej perspektywie. To co mi brak w publikacji „Dekomunizacja i rzeczywistość” to nieobecność jakiegokol-

wiek interpretacji zachodzących zjawisk społecznych w post-komunistycznej Europie środkowo-wschodniej. Czy to co się dzieje w powyższych społeczeństwach to tylko opóźnianie przez środowiska komunistyczne ostatecznego rozkładu komunizmu. To zdaje się sugerować wypowiedź P. Villamarest, który porównuje upadek III Rzeszy i próby ratowania się działaczy nazistowskich (emigracja do Ameryki Południowej) z upadkiem komunizmu i próbami ratowania swojej skóry przez funkcjonariuszy komunistycznych. Jednakże jest też możliwa inna interpretacja. Otóż to co możemy obserwować obecnie to tylko transformacja systemu komunistycznego. Transformacja ta idzie jednak tak daleko, że nie usprawdliwia ona stosowania wobec nowego systemu przymiotnika „komunistyczny”. Wyłaniający się jednak nowy system społeczny nie można również nazwać demokratycznym kapitalizmem, bowiem dawna komunistyczna nomenklatura sprawuje w nim nadal dominującą rolę łącząc wpływy polityczne z kontrolą życia ekonomicznego. Fakty zaobserwowane przez P. Villamaresta byłyby więc fragmentem większej całości - transformacji komunizmu. To, która z tych interpretacji jest prawdziwa w pełni może pokazać tylko przyszłość. Z tym większą uwagą należy się więc jej przyglądać.

Dekomunizacja i rzeczywistość. Wydawnictwo Amarant. Warszawa 1993.

BOŻE IGRZYSKO

Marek Kozłowski

Praca pod powyższym tytułem ukazała się po raz pierwszy w Londynie w 1981 roku. W Polsce natomiast wszyscy zainteresowani historią mieli możliwość skorzystania z tego dzieła w roku 1987 dzięki oficynie wydawniczej „Znak”. Niestety, działająca wówczas cenzura w kraju spowodowała, iż opracowanie to nie ukazało

się w całości. Miarą powodzenia tej pracy wśród czytelników jest fakt, iż w połowie 1992 roku ukazało się jej drugie wydanie, tym razem bez ingerencji cenzury. Ponowne pojawienie się „Bożego Igrzyska” na rynku księgarskim nie powinno budzić żadnego zdziwienia, ponieważ zapotrze-

bowanie na tego rodzaju dzieła historyczne w Polsce jest powszechne.

Norman Davies posiada wieloletni doświadczenie naukowe. Spod jego pióra wyszły m.in. „takie prace jak: „White Eagle, Red Star - the Polish-Soviet War 1919-1920”, London 1972 oraz „Heart of Europe. A Short History of Poland”, London 1984.

pokwitowanie dla wpłacającego zł słownie wplacający	pokwitowanie dla posiadacza r-ku zł słownie wplacający	pokwitowanie dla banku zł słownie wplacający
Wydawnictwo „WiS” 61-655 Poznań, ul. Gromadzka 23 Bank Gdański, I Oddział Poznań Nr r-ku 306203-62691-136	Wydawnictwo „WiS” 61-655 Poznań, ul. Gromadzka 23 Bank Gdański, I Oddział Poznań Nr r-ku 306203-62691-136	Wydawnictwo „WiS” 61-655 Poznań, ul. Gromadzka 23 Bank Gdański, I Oddział Poznań Nr r-ku 306203-62691-136
pobrano opłatę	pobrano opłatę	pobrano opłatę
stempel i podpis przyjmującego zł.....	stempel i podpis przyjmującego zł.....	stempel i podpis przyjmującego zł.....

Autor od 1971 r. jest pracownikiem School of Slavonic and East European Studies Uniwersytetu w Londynie.

Prezentowana praca - „Boże Igrzysko” - jak zaznacza autor we wstępie, nie jest próbą syntezy. W takim razie czym jest? Smiało możemy stwierdzić, iż Davies zastosował oryginalną formę między przeglądem dziejów, a pracą syntetyczną. Należy również zwrócić uwagę na to, iż przyjął także bardzo specyficzną konstrukcję pracy, a to dlatego, iż łączy rozdziały tematyczne i chronologiczne, co często sprawia, iż czytelnik nie znajduje w danym rozdziale tego, czego mógłby się spodziewać, ponieważ znajduje się to w innym miejscu.

Praca jest tak obszerna (1722 strony), że przy omawianiu jej zmuszony jestem ograniczyć się do niektórych tylko problemów.

W tomie pierwszym część pierwszej nazwanej: „Wstęp. Od czasów najdawniejszych do r. 1572”, Davies napisał eseje o historiografii i o geografii historycznej. Z kolei trzy rozdziały chronologiczne w części wstępnej noszą tytuły: „Piastowie”, „Andegawenowie”, „Jagiellonowie”. Rozdziały te są napisane interesująco i z dużym znawstwem problemu. Szkoda tylko, że królowa Bona przedstawiona - w rozdziale „Jagiellonowie” - jest bardzo negatywnie, a jak wiemy nie jest to jedyna możliwa interpretacja. Ponadto należy ubolewać, iż Renesans został oddzielony od Reformacji co może wykrzywić nieco spojrzenie czytelnika na obraz XVI wieku. Stało się tak jednak ze względu na konstrukcję pracy, o czym już pisałem.

Część druga tomu pierwszego została zatytułowana: „Życie i śmierć Rzeczypospolitej Polski i Litwy (1569-1795)”. Na szczególną uwagę zasługują m.in. rozdziały: „Szlachta”, „Handel”, „Agonia”. Pierwszy z nich czyta się z dużym zainteresowaniem, a to m.in. dlatego, iż Davies wykorzystując pamiętnik Jana Chryzostoma Paska, różne anegdoty, a także prace takich autorów jak Władysław Łozińskiego, Aleksandra Brücknera, Jana Bystronia, w sposób trafny przedstawił mentalność i styl życia Rzeczypospolitej

szlacheckiej. Kolejny rozdział - „Handel” - traktuje o polskim handlu zbożem i dotyczy Gdańska oraz powiazań z Polską. Szkoda, że autor pracy nie napisał o polityczno-prawnych związkach Gdańska z Polską, a więc np. o statucie Stanisława Karnkowskiego. Wreszcie w rozdziale ostatnim - „Agonia” - przedstawił politykę i stosunek Rosji (Katarzyny II), Austrii (Marii Teresy), Prus (Fryderyka Wilhelma II) wobec Rzeczypospolitej. Uczucie niedosytu budzi jednak zbyt pobieżnie potraktowana postać Stanisława Augusta Poniatowskiego, która do dziś budzi wiele kontrowersji i wywołuje mnóstwo polemik na temat jego osoby. Wydaje się także, iż powstanie kościuszkowskie wymaga o wiele głębszej interpretacji, a co za tym idzie bardziej wnikliwej oceny. Jest to o tyle ważne, że jak zrozumiałem, Davies skłonny jest przyjąć lelewelską tezę o roli zaborców jako głównych winowajców upadku Rzeczypospolitej.

Tom drugi pracy obejmuje wydarzenia z lat 1795-1980. Należy dodać, iż w części drugiej wspomnianego tomu znajduje się również Postscriptum 1, 2, 3, w którym autor dla kolejnych wydań książki „dopisał” historię Polski do 1990 roku.

Tom drugi otwiera bardzo obszerny rozdział (94 strony) pt.: „Naród”, który poświęcony jest rozwojowi nowoczesnego narodu polskiego. Jest tam zawartych wiele informacji na temat ruchów politycznych i zagadnień narodowościowych. Dyskusyjne wydaje się stwierdzenie, iż: „Wobec braku państwa narodowego świadomość narodowa Polaków czerpała natchnienie z czterech podstawowych źródeł: Kościoła, Języka, Historii i Rasy” (s. 38). Davies nie podaje przy tym końcowej daty tego procesu, informując jedynie, iż w pracach historyków pojawiają się daty 1864, 1918, a także 1945. W rozdziale nie został odpowiednio zaakcentowany rozwój procesu świadomości narodowej u chłopów.

Na uwagę zasługuje rozdział pt.: „Kościół”, w którym Davies napisał, że chociaż „Kościołowi zdarzało się zawieść Naród” i „zdarzało mu się przymykać oczy na krzywdę społeczną i polityczną nie-

sprawdliwość” oraz „okazywał się czasem niezgodny głoszonej przez siebie wiary”, to jednak „od stuleci Kościół rzymskokatolicki uosabia najdawniejsze i najbardziej wzniosłe ideały uświęcone tradycją polskich dziejów” (s. 289). Ze stwierdzeniem tym w pełni się zgadzam. Szkoda, że nie została zaakcentowana tematyka katolicko-powstaniowa z lat 1861-1864. Moim zdaniem warto było tego dokonać nawet kosztem nie ukazania wątków współczesnych kościoła, które autor zamieścił w tym rozdziale.

„Feniks. Odradzanie się państwa polskiego (1914-1918)” to tytuł kolejnego rozdziału, który pragnę omówić. Moim zdaniem jest on zbyt krótki (s. 474-493), aby przedstawić tego rodzaju problematykę. W związku z tym powstanie Naczelnego Komitetu Narodowego oraz Legionów, Davies naświetlił bardzo powierzchownie. Podobnie rzecz ma się z Aktem 5 listopada 1916 roku. Natomiast spór Piłsudskiego z Beselerem został przedstawiony w sposób bardzo uproszczony. To wręcz dziwne, że autor przy pisaniu omawianego rozdziału nie wykorzystał pracy Andrzeja Garlickiego „U źródeł obozu belwederskiego”, czy też doskonałej książki Janusza Pajewskiego „Odbudowa państwa polskiego 1914-1918”, korzysta zaś z tendencyjnych książek Stefana Arskiego „My, Pierwsza Brygada” oraz „galicyjska działalność wojskowa J. Piłsudskiego 1906-1914”.

Na koniec pragnę zwrócić czytelnikowi uwagę na ostatni rozdział: „Polska Rzeczypospolita Ludowa (po roku 1944)”. Davies przedstawił w nim m.in. nieustanną walkę społeczeństwa polskiego z narzuconym mu ustrojem komunistycznym. Omówił przewlekłe, powtarzające się co kilka lat kryzysy (1956, 1968, 1970, 1976, 1980), które były dla władzy za każdym razem coraz bardziej niebezpieczne, dla społeczeństwa zaś były kolejnymi „doświadczeniami” na drodze odzyskania wolności. Ukazał również trudną sytuację kościoła katolickiego w latach czterdziestych i początku pięćdziesiątych oraz jego rolę w procesie odzyskiwania suwerenności kraju. Nazwanie jednak kościoła „lo-

odcinek dla banku

ZAMAWIAM

prenumeratę
półroczną
– 30.000 zł

prenumeratę roczną
– 60.000 zł

od n-ru

odcinek dla posiadacza r-ku

ZAMAWIAM

prenumeratę
półroczną
– 30.000 zł

prenumeratę roczną
– 60.000 zł

od n-ru

odcinek dla wpłacającego

ZAMAWIAM

prenumeratę
półroczną
– 30.000 zł

prenumeratę roczną
– 60.000 zł

od n-ru

jalną opozycją w PRL" (s. 757) może być dla niektórych osób niezrozumiałe, dlatego też uważam, iż zwrot ten powinien być wytłumaczony jednoznacznie. Należy podkreślić, iż uwagi na temat ugrupowań katolików świeckich także nie są zbyt trafne.

„Boże Igrzysko” Daviesa jest największą objętościowo pracą napisaną na Zachodzie przez nie Polaka. W pracy tak obszernej, pewne potknięcia są praktycznie nie do uniknięcia. I tak np. w tomie pierwszym (s. 694) pisząc o poemacie Ignacego Krasickiego „Myszeidos”, podał „Myszeis”. W tomie drugim (s. 486): Deklaracja Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Chłopskich dotycząca Polski nie została wydana 27 marca 1918 roku lecz uchwalona, a ogłoszona ją dzień później 28 marca. Wojna przewencyjna miała miejsce w 1933 roku, a nie w 1934 (s. 539). Beck w 1938 r. nie przekroczył Olzy na czele polskich oddziałów (s. 616). Trzecie powstanie śląskie nie było wymierzone przeciw „decyzji” plebiscytu, lecz przeciw planom przeprowadzenia granicy po plebiscycie (s. 620). Komunis-

tyczna Partia Robotniczej Polski powstała w Warszawie a nie w Krakowie (s. 668). Do grupy poetyckiej „Skamander” należał nie tylko Jan Lechoń, Julian Tuwim, Jarośław Iwaszkiewicz i Antoni Słonimski (s. 538), ale również Kazimierz Wierzyński. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego nie powstał 22 lipca 1944 roku w Lublinie (s. 687) lecz 21 lipca tegoż roku w Moskwie. Ignacy Paderewski w 1918 r. przyplął nie do Szczecina (s. 181), ale do Gdańska.

Warto także zwrócić uwagę na niektóre sformułowania autora książki, które budzą mój sprzeciw jak np. nazwanie „Falangi” - „bandą politycznych gangsterów” (s. 532), co jest mocną przesadą. Z kolei zapis: „Gdyby Druga Rzeczypospolita nie padła ofiarą haniebnego morderstwa z rąk obcych agentów (w 1939 roku - M.K.), niewątpliwie wkrótce zostałaby złożona jakąś poważną chorobą, wywołaną przyczynami wewnętrznymi” (s. 534). Interesujące skąd autor miał taką pewność?

Zastanawia mnie również dlaczego przy omawianiu rozdziału: „Golgota. Polska w okresie drugiej wojny światowej

(1939-1945)” nie występuje w ogóle nazwisko generała Stefana Roweckiego - „Grot”.

Zastrzeżenia w pracy budzi również indeks osób. Na przykład w tomie II (s. 43) występuje nazwisko Stanisława Wyspiańskiego natomiast w indeksie brak wzmianki na ten temat. Z kolei w indeksie znajdujemy zapis, iż nazwisko Andrzeja Garlickiego znajdziemy w tymże tomie na s. 815. Niestety, tam go brak.

Szkoda także, iż tego rodzaju praca została pozbawiona bibliografii. Wspomniane przeze mnie niedociągnięcia nie podważają w zasadniczy sposób wartości pracy. Erudycja autora, przejrzystość stylu, barwny język, dobrze dobrane cytaty, liczne wykresy oraz mapy powodują, iż książkę nie można postawić zarzutu, że jest „podręcznikowa”, chociaż zalecana jest przez Ministerstwo Edukacji Narodowej do użytku szkolnego i wpisania do zestawu książek pomocniczych do nauczania historii na poziomie szkoły średniej.

Norman Davies, *Boże Igrzysko. Historia Polski, t. I-II, wyd. 2, Kraków 1992.*

Listy do Redakcji

RODAKOM KU ROZWADZE!...

Stefan Zachartowicz

Pierwsza wojna światowa dała narodowi polskiemu możliwość walki o niepodległość. Jednak zwycięstwo nie było końcem wojny dla nas. Raz jeszcze Polska stała się przedmurzem chrześcijaństwa, pokonując w bitwie zaliczanej do największych, decydujących o nowym układzie sił na świecie, w bitwie pod Warszawą, nad Wisłą, komunistycznego agresora.

Wyzwolony kraj, w niezwykle trudnych warunkach, dzięki ofiarności całego narodu, pod wodzą Marszałka Józefa Piłsudskiego, stał się państwem wolnym, osiągając sukcesy w wielu dziedzinach. Polska „złotówka” była walutą, z którą liczone się na rynkach świata. Gdynia była wspaniałym, nowoczesnym portem. Polskie ubezpieczenia społeczne były wzorem do studiowania przez inne państwa, podobnie jak ustawodawstwo w zakresie ochrony wód i środowiska, wprowadzane na Zachodzie dopiero kilkadziesiąt lat później. Także i nasza Konstytucja kwietniowa z 1935 roku stała się wzorem dla innych państw.

Dwa paragrafy tej Konstytucji zasługują na szczególną uwagę, gdyż świadczą o nadzwyczajnej dalekowzroczności jej twórców:

„Na wypadek wojny Rząd Polski znajduje się poza granicami Polski, a po zakończonej wojnie wróci do Polski i Prezydent ogłosi wybory powszechne dla wyboru nowego rządu.”

Od momentu zajęcia Polski przez Niemcy i Rosję sowiecką w 1939 roku, Rząd Polski na Uchodźstwie w Londynie

sprawował władzę, reprezentował okupowany kraj wobec innych państw i gwarantował ciągłość prawną państwa polskiego. Działalność całego Podziemia walczącego z okupantem, walka toczona przez Armię Krajową, zdobycie przez nasz wywiad „Enigmy” umożliwiającej aliantom poznawanie planów niemieckiego sztabu, zdobycie planów rakiet „V” i przekazanie ich aliantom i wreszcie przyznanie przez Churchilla, że „nigdy tak liczni nie zawdzięczali tak wiele... nielicznym”, co odnosiło się do sukcesów polskich lotników, broniących Anglii przez hitlerowskimi bombowcami. Wreszcie Tobruk, Monte Cassino, Arnhem, brygada Generała Maczka i ileż jeszcze bohaterskich działań - a wszystko to w oparciu o istniejące de jure państwo polskie, Rzeczypospolitą, z Prezydentem uznawanym przez wszystkie inne państwa na czele.

Wojnę wygraliśmy, ale wolność przegraliśmy... Nadeszły czasy wielkich zdrad: Teheran, Jafta, Potsdam... Stany Zjednoczone, jak zwykle, nie tylko inspirator i współorganizator wszelkich rewolucji ostatnich paruset lat, lecz także i dożgonny przyjaciel Związku Sowieckiego, lecz i obrońca Rosji, „odstąpił” nas w niewolę Stalinowi.

Rosja Sowiecka uznawała nasz Rząd na Uchodźstwie również, choć wobec planów zagarnięcia Polski nie była to sytuacja wygodna. Trzeba było szukać okazji, by stosunki z emigracyjnym rządem zerwać. Katyń okazał się najlepszą po temu sposobnością. Nasz rząd protestował, a Prezydent nie był zachwycony układem

Sikorki - Majski. Stalin zerwał stosunki z rządem w Londynie i z błogosławieństwem amerykańskiego prezydenta, oraz przy pomocy naszych „własnych” Bierutów, uszczęśliwił Polskę rządem zwanym „lubelskim”. Zapewnił też okupowanemu krajowi „uchwalenie” nowej „radosnej” konstytucji. Za te „dobrodzieństwa” tysiące naszych rodaków, najlepszych patriotów, zapłaciło życiem w kazamatach NKWD i „rodzimej” bezpieki...

Był to czas zdrady: w kraju znaleźli się „szmatławcy” i zdrajcy wszelkiego pokroju, a i w Londynie, niestety, też ich nie zabrakło.

Ostatnim niekwestnionowanym prezydentem RP na Uchodźstwie był Prezydent Raczkiewicz. Przepis konstytucyjny wymagał, aby w każdej chwili, oprócz prezydenta, był także przez niego mianowany następca. Mądry ten przepis gwarantował, że RP ani przez moment nie byłaby pozbawiona głowy państwa. Jednym z ostatnich mianowanych przez prez. Raczkiewicza następców był Tomasz Arciszewski. Fakt, iż był on socjalistą nie mógł podobać się wszystkim. Ułóża umierającego Prezydenta zameldował się Generał Anders. Rezultatem tej wizyty była nowa nominacja: Prezydent Raczkiewicz desygnował na swego następcę Augusta Zaleskiego. Rezultat był tragiczny. Wojsko polskie zbuntowało się. Generał Anders złożył Prezydentowi Zaleskiemu wizytę i „wyczarował” dla siebie jeszcze jedną generalską gwiazdkę, poczym wymówił legalnemu prezydentowi posłuszeństwo i...

„wyczarował trójkłowego prezydenta”, tzw. Radę Trzech!

Gorąca wojna naprawdę skończyła się, ale za to zaczęła się „zimna”. Stany Zjednoczone zapragnęły mieć swoich agentów i grupy dywersyjne w Polsce. Prezydent Zaleski nie należał do tych, którzy byli skłonni brudzić swe ręce i sumienie. Z pomocą Ameryce pośpieszyła Rada Trzech, ze swoim „prezydentem” Raczyńskim na czele. Towarzysze z tej klikki sprzedali się po prostu za dość duże „zielone”. Fundusze otrzymywane za brudną robotę dzielono według „klucza partyjnego”. Wynikła z tego osławiona „afery Bergu”. Amerykanie płacili za to, aby wytyczy z bezpieki służyły sprzedawczykom jako kurierzy do kraju. Spisy podziemia trafiały nie tylko w ręce CIA, lecz także do Warszawy. I znów tysiące Polaków zapłaciło życiem i torturami za „wyczyny” rodzimych polityków, którym uczciwy Prezydent August Zaleski tkwił kością w gardle przez tyle lat. A w kraju tymczasem trwał koszmar sowieckiej okupacji, realizowany rękami Bierutów, Bermańców, Cyrankiewiczów, Radkiewiczów, Jaruzelskich i innych... zdrajców.

Po długich i ciężkich cierpieniach doszli bankierzy na Zachodzie do wniosku, że ich ukochane dziecię, ZSRR, nie nadaje się jako system do dalszej eksploatacji. Chętnie pożyczają się sowieciarzom miliardy dolarów, ale nie chodzi przecież o podtrzymywanie przy życiu politycznego i ekonomicznego trupa... trzeba przecież zarobić coś na tej lichwie. Konieczny okazał się bardziej „kapitalistyczny” i „demokratyczny” system, z rządami

gwarantującymi spłatę długów. Dotyczyło to zresztą nie tylko ZSRR, lecz w równej mierze i pozostałych państw, zwanych socjalistycznymi. Rozpoczęła się akcja „demontażu państwowej własności”. Prywatyzacja objęła zresztą także kraje, które były kierowane nie przez komunistów, lecz przez bardziej bładoróżową socjaldemokrację. Sytuacja zmieniła się radykalnie. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki (Malta, zamiast Yalta...) wali się berliński mur.

Ale już wcześniej, po nieudanym „stanie wojennym”, „okrągły stół” miał dać Polakom nową szansę odrodzenia Ojczyzny i niepodległości. Niestety. Towarzysze bankierzy wraz z towarzyszami z Moskwy ustalili zgóry, kto i jak ma rządzić. Trzeba było przecież zapewnić taki układ, taki system, w którym dalsza skuteczna eksploatacja Polski byłaby całkowicie zagwarantowana. „Demokracja” taką gwarancję rzeczywiście zapewnia.

Dzięki „demokratycznemu” systemowi owieczki (żeby nie powiedzieć: barany) wybierają sobie same pasterza. Jeśli 51% owieczek chce podlegać rządowi takiego na przykład Lecha Wałęsy, to pozostałe 49% musi się z tym pogodzić... To jest demokracja. Nawet jeśli głosuje zaledwie 38% uprawnionych, to i tak wystarczy tylko 51% tych głosujących, by narzucić narodowi wolę tych, którzy mieli dość środków materialnych, by te owieczki przekonać propagandowo, jaki to Lechu będzie dla nich dobry. System „demokratyczny” nie przewiduje badania stanu umysłowego głosujących... Wystarczy zatem jakieś 20% uprawnionych do głoso-

wania nie mających wykształcenia podstawowego, by zwycięstwo wyborcze przypadło niedokształconemu elektrykowi...

I ażeby nie było żadnych już wątpliwości, cały ten cyrk odbywa się na podstawie konstytucji narzuconej narodowi polskiemu przez Stalina i uchwalonej w 1953 roku !!! „Patrioci” w rodzaju Wałęsy, Geremka, Mazowieckiego, Kuronia, Michnika i pozostałych towarzyszy, w żadnym przypadku nie odważyli się na odrzucenie tej nielegalnej konstytucji i przywrócenie Konstytucji z 1935 roku, uchwalonej przez Wolny i Niezawisły Sejm RP!

Konstytucja z 1935 roku nigdy formalnie nie została unieważniona. Konstytucja stalinowska z 1953 roku jest z pewnością aktem sprzecznym z interesem RP i nielegalnym.

W tej sytuacji należy wątpić, czy Lech Wałęsa jest legalnym prezydentem RP. Uważam, że należy poważnie zastanowić się nad istniejącą sytuacją prawną. Należy rozpisać wybory na podstawie legalnej Konstytucji z kwietnia 1935 i wybrać człowieka godnego, bez komunistycznej hipoteki. Biorąc zaś pod uwagę brak obecnie legalnego prezydenta RP na Uchodźstwie, Prymas Polski, Józef Kardynał Glemp, winien przyjąć na siebie obowiązki „interrexa”, nadzorującego przeprowadzenie uczciwych wyborów powszechnych.

Czy jest jakieś inne, lepsze wyjście z obecnego galimatiasu?

Czyż nasz kraj zawsze „nierządem stać musi”?

O EMIGRACJI

Janusz Kowalewski

Publikujemy obszerny, pierwszy list wybitnego emigracyjnego pisarza Janusza Kowalewskiego (rocznik 1910). Autora „O żołnierzu ciulaczu”, „Droga powrotna”, „Miłość i hazard”, oraz wielu innych książek publikowanych na łamach emigracyjnych czasopism, redaktora wielu pism emigracyjnych, których redakcje obejmował kolejno w latach 1950-1990, między innymi: „Ostatnie Wiadomości”, „Tydzień Polski”, „Orzeł Biały”. Publikacja ta otwiera cykl artykułów pod ogólnym tytułem „Niepotępięcze spory emigracji niepodległościowej” jakie autor zamierza napisać dla naszego pisma. W kolejnych n-rach SW będą więc mogli Państwo przeczytać między innymi o sporach:

— Tymona Terleckiego z Marią Kuncewiczową o stosunek do władz PRL

— Jana Nowaka Jeziorańskiego z Marianem Hemarem i Mieczysławem Grydzewskim o ich stosunek do twórczości Józefa Mackiewicz

— Tymona Terleckiego z Józefem Garlińskim o władzę w emigracyjnym Związku Pisarzy

— Generała Władysława Andersa ze Stanisławem Mikołajczykiem o politykę wobec władz PRL

— Prezydenta Augusta Zaleskiego i gen. Władysława Andersa o stanowisko prezydenta na emigracji

— Leopolda Kielanowskiego z Reginą Kowalewską i Marianą Hemarą z Zygmunt Nowakowskim o teatr emigracyjny

— i wiele innych „sporów”

Znakomite pióro autora, bardziej z humorem niż pasją, odkryje zapewne przed czytelnikami naszego pisma wiele historycznych już przecież: sekretów, niuansów, swarów i waśni elity — literackiej i politycznej — „polskiego Londynu”.

Po opublikowaniu wszystkich „sporów” ukażą się one w formie książki.

Zbyszek Rutkowski

Drogi Kolego

Z radością godzę się na Pańską propozycję współpracy z Pańskim pismem i ewentualnie z innymi krajowymi periodykami za Pana pośrednictwem uprzejmym. Zachęca mnie Pan, bym pisał o sprawach, jakimi żyła emigracja polska w Wielkiej Brytanii po drugiej Wielkiej Wojnie lat 1939—1945. Dla mnie los emigranta politycznego w W.B. zaczął się od r. 1946 gdy wpłynął na tę wyspę jako były żołnierz Drugiego Korpusu, dowodzonego,

jak wiadomo, na froncie włoskim przez generała Władysława Andersa, zdobywcy fortecy Monte Cassino, wielkiego zwycięstwa — może największego — w drugiej wojnie światowej — polskiego oręza (obok wspaniałych zwycięstw lotników polskich w bitwie o Wielką Brytanię i walk Pierwszej Dywizji Pancerniej generała Stanisława Maczka).

Przedtem, od 1939, byłem, bardzo przymusowym, emigrantem politycznym na „gościnnej”, jak to nazwali Bierut z Wasilewską, a „nieludzkiej”, jak nazwał w swej książce Józef Czapski „ziemi radzieckiej”. To tyle na razie o „sobie samym do potomności”, a co o polskiej emigracji politycznej w W.B.? Ano do dzieła. Trudnego i niewdzięcznego, bo jak to między nami Polakami, wiem, że będę narażony na różne wymówki, pretensje — że za mało o jednych sprawach i ludziach, za dużo o innych, że nieobiektywnie, że zbyt subiektywnie. Godzę się na te zarzuty, przyjmuję je z góry, choćby i na tej zasadzie że nie istnieją w przyrodzie sprawy ludzkie widziane i opowiedziane niesubiektywnie, a szczególnie jakiegokolwiek bądź wspomnienia. Raz dlatego że pamięć ludzka jest zawodna, dwa że człowiek jest przede wszystkim egoistą. Kto

mówi że nie jest i że kieruje się wyłącznie altruizmem i interesami bliźnich — nie wiercie mu.

„Do rzeczy!” — jak rzekł pewien tragarz, chwytając walizkę podróżnego na Dworcu Głównym — jakim dworcem? — każdym.

Najpierw chciałem zacząć od tematyki plotkarskiej, najbardziej interesującej, bo dramatogenicznej, by tak rzec. Od przypomnienia emigracyjnych swarów „potępieńczych” i takich więcej zwyczajnych, znaczy zasadniczych i personalnych; oraz opisać kariery emigracyjne ludzi zasłużonych dla sprawy polskiej i ludzkiej, jak na przykład czyni dzieła majora Stefana Soboniewskiego, założyciela i wieloletniego, do dzisiaj, prezesa Stowarzyszenia Polskich Kombatantów; generała W. Andersa, który był nie tylko zwycięskim wodzem w czasie wojny, ale i wybitnym działaczem politycznym na emigracji; prezydenta Augusta Zaleskiego. I kariery niezasłużone, ale niewątpliwie wielkie — jak pana Zdzisława Jeziorańskiego, o pseudonimie „Jan Nowak”, byłego kierownika polskiej sekcji amerykańskiego Radia Wolnej Europy — imprezy C.I.A. — i jego potępieńczym sporze z najwybitniejszym pisarzem Emigracji Józefem Mackiewiczem, świetnym poetą-satyrykiem Marianem Hemarem i najwybitniejszym redaktorem Mieczysławem Grydzewskim. I o wielu innych poszczególnych ludziach i sporach.

Ale sobie pomyślałem że czytelnik w Kraju powie sobie to, co reżim bieruto-jaruzelski starał mu się wpoić — że „oni tam w tym Londynie nic nie robili, tylko się kłócili albo robili kariery”.

Wobec tego postanowiłem — myślę, że Kolega ze mną się zgodzi — napisać najpierw, choćby jak najbardziej pobieżnie i ogólnikowo, o naszym niewątpliwie wielkim dorobku kulturalnym i politycznym, wymienić najważniejsze pozycje tego dorobku stylem książki buchalteryjnej. A i dlatego jeszcze chcę to podsumowanie po stronie „ma” zrobić, że reżim tę stronę naszej działalności wydarł z naszej historii swoim o niej milczeniem. Nawet autorzy obiektywnie podający historię, poprzedzających naszą, emigracji polskich politycznych, od barskiej i kościuszkowskiej poczynając (nie mówiąc już o ariańskiej z XVI–XVII w.), tacy jak S. Kieniewicz („Powstanie styczeńowe”, Warszawa 1972), H. Skok („Polacy za Bajkałem”, Warszawa 1977), J.W. Borejsza („Dyplomacja bez listów uwierzytelniających”, „Pochwała pokonanego powstania”, Warszawa 1990), S. Kalemba („Wielka Emigracja”, Warszawa 1971) i wielu innych — chwalać, nawet ponad miarę, za usługi emigracji polistopadowej — o naszej milczą.

„Wielką Emigracją” ochrzciła historia emigrację polistopadową. I słusznie. Nie tylko dlatego, że miała trzech wieszczów, ale i za jej działalność polityczną. Wybitny historyk A. Lewak, pisząc w swym dziele pt. „Polska, jej dzieje i kultura” (Warszawa 1932), podkreśla wielki wpływ polityczny dyplomacji Hotelu Lambert na parlamenty Francji, Anglii, a Sławomir Kalemba, porównując emigrację polską lat 1832—

1862 z innymi emigracjami politycznymi, np. niemiecką, udowadnia na podstawie danych liczbowych o ilości wydawnictw emigracyjnych polskich i niemieckich, że polska przodowała, przewyższając niemiecką w tym samym okresie trzykrotnie.

Tak, to wszystko prawda. Nie wiem, muszę się ze wstydem przyznać, czy jest jakaś w książce wydana historia emigracji polskiej po drugiej wojnie, sumująca nasz dorobek polityczny i kulturalny. Gdyby taka książka była, ukazałaby z całą pewnością, że jeżeli emigrację listopadową słusznie nazywa się „wielką”, to naszą należałoby chyba nazwać „olbrzymią” — a jej dorobek chyba „gigantycznym”. Spróbujmy sucho, „buchalteryjnie”, w wielkim skrócie ten dorobek ukazać. I proszę nie myśleć, Panie Redaktorze, że kieruję się czymś w rodzaju dziecinnego samochwalstwa. Jestem daleki od takiej dziecinady w rodzaju, czyja mamusia jest ładniejsza. Chodzi mi o ukazanie faktami prawdy historycznej, obalającej propagandę reżimu pierwszej PRL (dzisiaj mamy drugą, niestety, tow. tow. Kwaśniewskiego i Pawłaka) — że „oni”, tzn. my w W. Brytanii, „siedzą na walizkach, czekają na trzecią wojnę światową i kłócą się”...

Kłótni było niemało, to prawda. Ale były i takie fakty:

— Było nas zaraz po wojnie w W. Brytanii ponad 120 tysięcy mężczyzn i kobiet; w większości byli żołnierze wojsk zwyciężczych; polistopadowa emigracja nie przekraczała liczby dziewięciu tysięcy byłych żołnierzy tragicznie przegranej walki powstańczej.

— Stworzyliśmy rząd z prezydentem na czele jako wyraz protestu przeciw czwartemu zaborowi rosyjskiemu Polski i jaltańskiej zdradzie naszych sprzymierzeńców z czasu wojny, Wielkiej Brytanii Churchill i USA Roosevelta, którzy cofnęli uznanie legalnemu i formalnemu rządowi naszemu z czasu wojny, wiedząc że oddają nas w ręce katyńskiego mordercy (o mordzie katyńskim wiedzieli wcześniej niż my, przez co stali się współnikami tej zbrodni); agencji NKWD w Polsce, jak i agencji CIA, w tym samym śpiewając zbrodnictwem chórze, próbowali kpina i naciskami różnego rodzaju zmusić nas do wyrzeczenia się tego rządu, który był wyrzutem ich sumienia, jeśli agencji mają sumienie. Ogromna większość emigracji była temu rządowi, który miał tylko władzę moralną, wierna, z wyjątkiem wspomnianych grup, kierowanych przez postulujących polityce jaltańskiej W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych, wyznawców tej polityki. Szczegółowo o najwybitniejszych z nich, Bolesławie Wierzbiańskim i Zdzisławie Jeziorańskim, napiszę w następnym do Pana, Panie Redaktorze liście. Rządu nie uznawała — założona przez tych dwu panów — grupa, nazywająca się „Niepodległość i Demokracja” oraz sekcja polska Radia Wolnej Europy, też kierowana przez tych dwu jaltańczyków. Przedstawiciele rządu polskiego na emigracji nigdy nie byli oficjalnie zaproszeni do przemawiania przez mikrofony RWE do Kraju.

Rząd utrzymywała Emigracja finansowa za pośrednictwem Skarbu Narodowego, do którego wpłacała składki, zadeklarowane dobrowolnie. Skarb Narodowy stworzyła również emigracja po Powstaniu Styczniowym 1863 roku. Nasza Emigracja przejęła tradycję Styczniowców.

Ośrodkami bujnego życia politycznego, społecznego i kulturalnego były liczne organizacje tę wieloraką działalność naszej Emigracji prowadzące.

Jakie? Były i są nadal ich setki. Między innymi:

— Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, założone zaraz po wojnie jeszcze we Włoszech, gdzie dożywał swoich dni krwi i chwały Drugi Korpus generała W. Andersa; założycielem i prezesem był Stefan Soboniewski.

— Liczne związki zawodowe: Stowarzyszenie Techników Polskich, które było inicjatorem, a zespół jego członków, z inż. Romanem Wajdą na czele, stał się grupą założycielską niezwykle ważnej w naszej niepodległościowej działalności politycznej i kulturalnej instytucji — sławnego już dziś na cały obszar oddziaływania i życia Sprawy Polskiej — POSK-u (Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego), w którego pięknym gmachu mieści się obecnie większość ważniejszych naszych organizacji i instytucji z SPK i Instytutem Józefa Piłsudskiego oraz teatrmi, których mamy kilka i Biblioteką Polską na czele.

— Emigracja z wyjątkową pieczołowitością i troską o przyszłość polskości zadbała o dzieci i młodzież, zrodzone na obczyźnie. Wyrazem tej troski było zakładanie zaraz po wojnie polskich szkół sobotnich, w których młodzież uzupełniała szczegółową wiedzę o Polsce, jakiej nie dawała jej szkoła angielska, polerowała też i dokształcała język polski, którego początki nabywała w rodzinnym domu, ale którego nauce zapracowani rodzice nie mogli się w całej pełni poświęcić. Bo zapracowani byliśmy, często ponad siły i ponad normalną ludzką miarę. Naszych domów i jakiej takiej niezależności materialnej dobiliśmy się z wielkim trudem, a i pomocy materialnej nie żalowaliśmy rodzinom w kraju, wysyłając pieniądze i paczki materiałowo-żywnościowe. Warto wspomnieć, że jaltańska Anglia zapomóg i emerytur wojskowych płacić nam nie chciała, mimo że walczyliśmy u boku jej armii za wolność nie tylko naszą, ale i waszą... Opiekunami szkół polskich było SPK i „Macierz” Szkolna. Ze wspomnianej wyżej troski o polskość młodego pokolenia, zrodzonego na obczyźnie, narodziła się zupełnie specjalna i wyjątkowa nie tylko w życiu jakiegokolwiek emigracji, ale w życiu polskim w ogóle instytucja: zawodowy, fachowy Polski Teatr dla Dzieci i Młodzieży (w r. 1959, premiera), nazwany w rok potem w plebiscycie „Tygodnia Polskiego”, którego niżej podpisany był współzałożycielem i pierwszym redaktorem — „SYRENA”. Nie było takiego teatru w polskim życiu teatralnym, ani w czasie zaborów, ani w Polsce Niepodległej, ani w tak zwanej „ludowej”. Inicjatorką i współzałożycielką tego unikatku jest Regina Ko-

walewska, przez 30 lat jego kierowniczka artystyczna i reżyserka większości spośród ponad pół setki wystawionych w tym okresie sztuk. Inicjator, obecnie złoźona ciężką chorobą, jest absolwentką przedwojennego Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej. Na emigrację w W. Brytanii spłynęła po sześciu latach przebywania na „emigracji” na „gościnnej ziemi radzieckiej” w Kazachstanie. Założeniu „Syreny” patronowały wszystkie polskie stowarzyszenia, złączone w Zjednoczeniu Polskim pod ówczesną prezesurą red. Pawła Chcia (zmarłego niedawno). Najczynniejszą rolę w pomocy „Syrenie” odgrywały przez cały czas jej istnienia Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i Polska Macierz Szkolna, tj. instytucje czynne w zakładaniu i prowadzeniu również polskich szkół sobotnich.

— Założyliśmy też Polski Uniwersytet na Obczyźnie (PUNO).

— Ogromną rolę w naszym życiu kulturalnym odgrywa Biblioteka Polska, której współzałożycielką jest Maria Danilewiczowa, a obecnym dyrektorem, jednocześnie bardzo czynnym działaczem niepodległościowym oraz gorliwym obrońcą naszych praw do naszych ziem utraconych na naszych Kresach Wschodnich — dr Zdzisław Jagodziński.

— Ogromnej roli naszego duchowieństwa oraz organizacji religijnych, jak Polska Misja Katolicka, Instytut Polski Katolickiej w W. Brytanii, w wychowaniu młodzieży, a i w opiece nad starszym pokoleniem złożyć należy czołobitny hołd. Ich zasługi w tych dziedzinach są ogromne. Toteż Emigracja doceniając je wniosła kosztem niemałych ofiar wiele gmachów świątyni. Pod opieką i kierownictwem plebanów działają przy plebaniach koła parafialne, spełniające wiele zadań wychowawczych, opiekuńczych i religijnych. Życiem religijnym kieruje Polska Misja Katolicka w Anglii i Walii. Jej rektorem jest obecnie ks. prałat K. Zieliński.

— Poważną rolę w naszej czynnej trosce o polskość naszej młodzieży odgrywa, uzupełniając wybitnie rolę polskich szkół sobotnich i teatru „Syrena” (wciąż grającego pod dyktando następczyni R. Kowalewskiej, jej wychowanki, Joanny Młodzińskiej) — odgrywa Harcerstwo. Założycielami ZHP na emigracji w W. Brytanii byli dwaj późniejsi kolejni prezydenci naszego rządu emigracyjnego, Kazimierz Sabbat i Zygmunt Kaczorowski, ostatni prezydent, który przekazał insygnia legalnej władzy prezydentowi Lechowi Wałęsie (czy nie za wcześniej, biorąc pod uwagę powrót komunistów do władzy w Polsce i wobec nastania PRL numer dwa) oraz Zygmunt Szadkowski działacz SPK.

— W parze z troską o polskość młodzieży idzie nasza troska o zabezpieczenie względnie dobrobytu starszemu pokoleniu emigracyjnemu. Celowi temu

służą liczne domy opieki, w których nasi rodacy starszego pokolenia znajdują dobre, w niektórych bardzo dobre, warunki bytowania. Wymienię kilka takich opiekuńczych domów. Najstarszą tego rodzaju instytucją jest nie jeden dom, ale cały zespół doskonale i nowoczesnie urządzone domy, stanowiących Polskie Osiedle w Penrhos w Walii na tle pięknego krajobrazu w pobliżu brzegu morskiego, na terenach dawnego z czasu wojny lotniska. Założycielem jest Polskie Towarzystwo Mieszkaniowe, wyłonione ze Stowarzyszenia Polskich Kombatantów za staraniem grupy kombatantkiej, której przewodniczył nieoceniony działacz kombatantki i oddany sprawom kultury, współzałożyciel i długoletni prezes Polskiej Fundacji Kulturalnej, mjr Stefan Soboniewski (jego postać i wieloraka działalność wymagałaby specjalnej książki!). O Penrhosie napisałem z inicjatywy S. Soboniewskiego broszurę pt. „Penrhos — Soplicowo w Walii”, poza tym tzw. „Antokol”, Dom Spokojnej Starości i in.

— Ale ponad wszystkie osiągnięcia i zasługi emigracji polskiej w W. Brytanii wybijają się jej działalność wydawnicza, sięgająca wielu tysięcy tytułów i wiele milionów egzemplarzy wydanych książek w ciągu ponad pół wiekowego istnienia. Działalność ta zaczęła się w czasie wojny, patronował jej dr Tymon Terlecki, wybitny teatrolog, filozof i autor o bardzo wszechstronnej wiedzy i zainteresowaniach, współzałożyciel i wieloletni prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Działalność wydawnicza trwa do dzisiaj, obecnie kieruje nią głównie, choć nie wyłącznie Polska Fundacja Kulturalna mająca własną, bardzo obecnie nowoczesną drukarnię i skład główny książek w miejscowości Hove pod Londynem, gdzie drukują się dwa główne pisma naszej emigracji — „Dziennik Polski” i „Dziennik Żołnierza” oraz „Tydzień Polski” (drukarnia kieruje wybitny fachowiec i organizator Tadeusz Filipowicz). Działalność wydawniczą Emigracji uważam za najważniejszą, bo wypełnia ona znakomicie ogromną lukę, jaką wyrwały z historii kultury polskiej i historii politycznej od roku 1939 do lat dziewięćdziesiątych, najpierw wojna i okupacja niemiecka, potem rządy agentów Moskwy od haniebnej pamięci Bieruta do Jaruzelskiego, który wydał wojnę narodowi polskiemu zupełnie oficjalnie z całym cynizmem w grudniu 1981. Działalność wydawnicza Emigracji, jej różnych instytucji — jak oprócz wspomnianej wyżej PFK, Instytut Józefa Piłsudskiego, Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Studium Polski Podziemnej, a poza W. Brytanią tak wspaniała i niezwykle dla sprawy polskiej zasłużona instytucja wydawnicza jak Instytut Literacki i miesiecznik „Kultura” niestrudzonego Jerzego Giedroycia (i — można dodać —

Zofii Hertz) — toż to temat tak ogromny i tak ważny, że wymaga specjalnej obszernej monografii. Spróbuję ten olbrzymi dorobek przedstawić, w zarysie tylko, w następnym liście do Pana. Teraz jeszcze tylko wspomnę o takich wielkich dziełach z zakresu najnowszej historii Polski — jak „Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie” — dzieło zbiorowe pod redakcją płk dr Biegańskiego, prace o walce Armii Krajowej Józefa Garlińskiego, kilka tomów historii Armii Krajowej — wyd. Studium Polski Podziemnej; „Na nieludzkiej ziemi” Józefa Czapkiego — o tworzeniu polskiej armii w piekle sowieckim; książki o Katyniu Józefa Mackiewicza i cała jego wspaniała twórczość literacka; „Bez ostatniego rozdziału” gen. W. Andersa; wspaniałe, można rzec monumentalne, wydawnictwo pt. „Polska i jej dorobek dziejowy”, wyd. Józefa Olechnowicza. I wiele, wiele, tysiące innych książek o treści historycznej, beletrystycznej, wspomnieniowej z zakresu najnowszych wydarzeń historycznych. Wszystko to przepadłoby i częściowo mogłoby ulec zapomnieniu, zaduszone przez moskiewskiego okupanta zbrodniczymi łapami jego agentów, władających w imieniu Moskwy narodem polskim i jego dziejami. Przepadłaby też bezpowrotnie twórczość poetycka takich naszych wieszczów, jak Kazimierz Wierzyński, Stanisław Baliński, Marian Hemar, obdarzony niewątpliwym geniuszem satyrycznym, ale i talentem lirycznym; przedstawicielem młodszej od wyżej wymienionych generacji pisarskiej jest Tadeusz Nowakowski, wielce utalentowany prozaik („Obóz wszystkich świętych”, książki o Papieżu. Wiele krótkich utworów utrzymanych w tonacji subtelnej humoru opowiadań, drukowanych swego czasu w „Wiadomościach” genialnego redaktora ś.p. Mieczysława Grydzewskiego). Do tego samego pokolenia należy Barbara Mękarska — Kozłowska, autorka fascynujących książek o Lwowie.

O tym wszystkim i wielu innych sprawach — oraz o naszych potępieniach i nie-potępieniach swarach — w następnych listach... Sam się zdumiewam dopiero teraz, pisząc o tym, jak wielkie i znakomite są osiągnięcia naszej emigracji politycznej, tak starannie przemilczane przez moskiewskich agentów, a czasem wyszydzane przez ich najmitów, zatrudnionych w ich propagandzie... A to, co tutaj wyżej pisałem, jest zaledwie może setną częścią wszystkich dokonań naszych, pracy setek naszych organizacji politycznych, społecznych, kulturalnych, religijnych.

Serdecznie pozdrawiam i dłoń mocno ściskam

Janusz Kowalewski
Londyn, grudzień 1993



Numer zamknięto 02.01.1994 r. Wydawca: Wydawnictwo „WiS”. Redaguje zespół: Krzysztof Brzechczyn, Maciej Frankiewicz, Zbigniew Rutkowski (red. prowadzący). Adres redakcji: 60-962 Poznań 22 skr. poczt. 59 Stałe punkty kolportażu: Poznań — Klub „WiS” ul. Górna Wilda 106, środa godz. 17.30 - 19, czwartek 16-18, tel. 33-00-91; Wrocław — Biuro Partii Wolności Pl. Św. Macieja 5 tel. 22-13-32, Łódź - Klub „WiS”, ul. Próchnika 1 I p. pon - środa 17-18.30, Warszawa ul. Smolna 40 III p. tel. 26-47-12. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i zmiany tytułów w nadsyłanych materiałach. Tekstów nie zamówionych nie zwracamy. Prenumerata: półroczna (gwarantuje otrzymanie 3 kolejnych nr-ów od daty wpłaty) — 30.000 zł, roczna (6 nr-ów) — 60.000 zł. Prenumerata zagraniczna roczna: zwykła — 15\$, lotnicza 30\$. Przekazy pocztowe (z dokładnym adresem prenumeratora i ilością zamawianych egz.) prosimy kierować na adres wydawcy: Wydawnictwo „WiS” ul. Gromadzka 23a, 61-655 Poznań. Czytaj i popieraj miesięcznik „Solidarność Walcząca”.